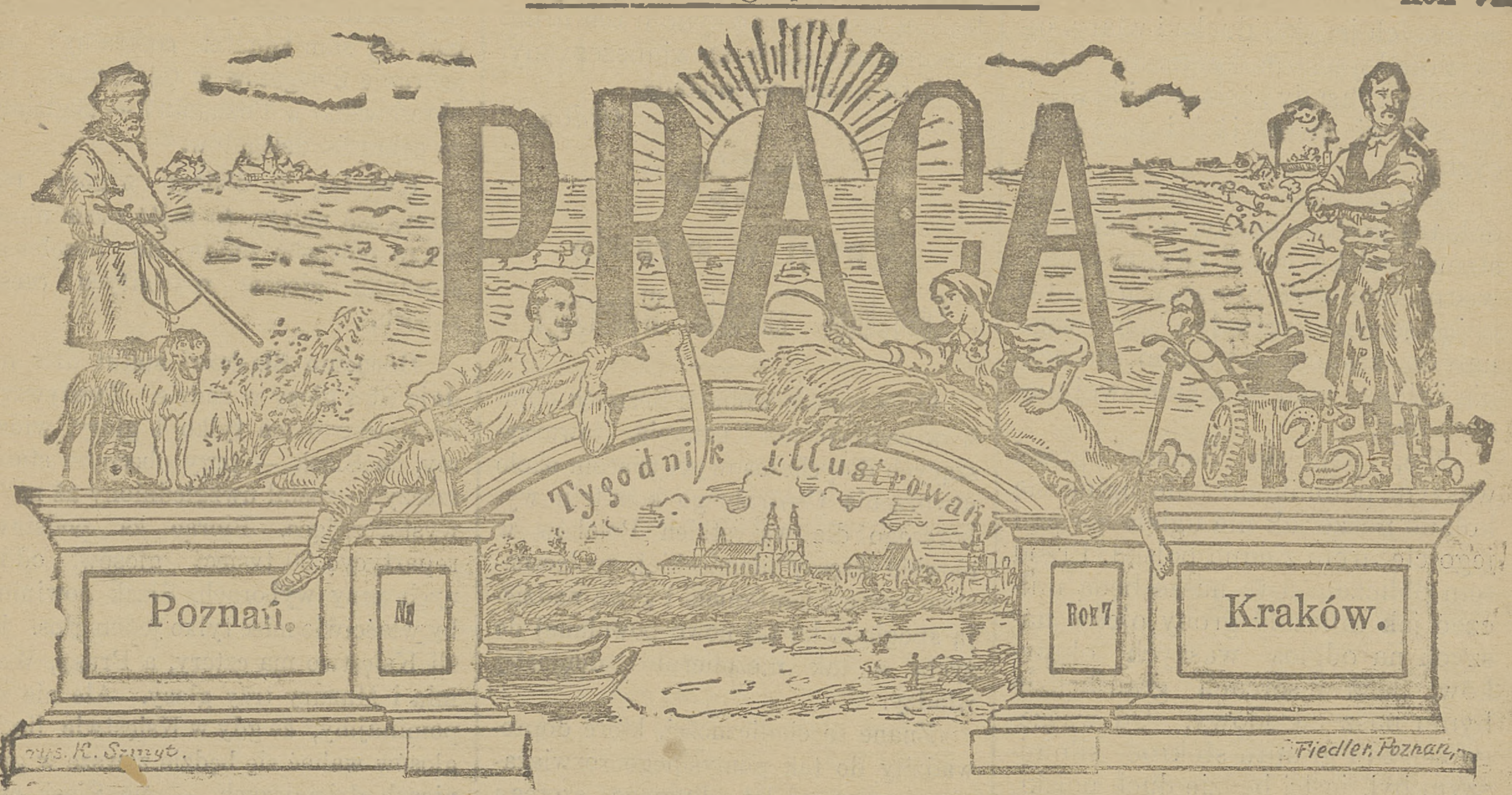
Nr. 42. Poznań, dnia 18-go października 1903. Rok VII



Treść nr. 42-go.

Żelazny kanclerz.

W ubiegłą niedzielę z południa zaroiło się na głównych arteryach Poznania, rozbrzmiewały trąby i bębny, chorągwie powiewały i procesya zszeregowanych członków towarzystw wojackich oraz urzędników poczty i kolei ciągnęła w w stronę, gdzie niedawno jeszcze wznosiła się brama berlińska.

Do miasta zjechało dwóch ministrów, książe Herbert Bismarck, pp. Tiedemann i Kennemann i wielu „manów“ tego duchowego pokroju, a — jak z zestawienia tych nazwisk domyślić się łatwo, zjechali na *święto hakatyzmu*.

Odsłonięto pomnik Bismarcka.

U stóp pomnika zebrało się mnóstwo oficyalnych patryotów, „wzmocniona“, wdzięczna za „zulagi“ niemczyzna wzniosła tęskne źrenice ku bronzowej figurze, posypały się mowy, znane frazesy, szumne zapewnienia patryotyzmu i pobudki wojenne, poczem opadła kurtyna i stanął przed oczyma wykuty ręką oficyalnego „artysty“ — rzeźbiarza oficyalny pomnik żelaznego kanclerza. Złożono mu do nóg wieńce i „patryoci“ poszli na obiad do ogrodu — zoologicznego, by pokrzepić ciała strawą a serca zaprawiać jadem nienawiści rasowej i krzyżackiej buty, radować się nadzieją nowego „wzmacniania kieszeni“ patryotycznych, zmienić wreszcie święto Bismarcka w święto Gambrinusa.

Przebrzmiały salwy hakatystycznych toastów, skończyła się uroczystość — oficyalna, banalna, żołnierska, jak każda taka uroczystość w tym kraju policyjno-biurokratycznym, z którego od szczęku broni pouciekały smak estetyczny, poczucie piękna i iście szlachetne porywy. Wokoło pomnika pusto.

* * *

Tylko jeszcze potrzeba było w Poznaniu pomnika Bismarcka, widomego objawu polityki ucisku, gwałtu i bezprawia, potrzeba było niezliczony szereg obelg ciskanych w oblicze ludności polskiej ukoronować stawieniem na ziemi pol skiej statuy największego jej wroga

Tę potrzebę odczuła hakata wychowana i wyzłocona w myśl żelaznego kanclerza. Z panującego ducha bismarckowskiego wyłoni się iście bismarckowski projekt zelżenia Polaków. Bo nie łudźmy się mówiąc sobie, iż w Bismarcku wi dzimy głównie wskrzesiciela tylu a tylu serc polskich. Tak nie jest Bismarck zbyt żywo stoi nam przed oczyma, zbyt boleśnie czujemy knut jego pruskiego systemu, abyśmy w tym żelaznym panu, którego przypominać nam uważała za sto sowne hakata, nie mieli w pierw szym rzędzie upatrywać symbolu tej niemczyzny co przez wieki żela zem nastawała na Słowian i wiecz nie wroga godzi żelaznym systemem bezprawia w ducha polskiego. W spadkobiercach politycznych jego stoi przed nami żywo Bismarck stokroć więcej plastyczny aniżel w granicie.

Nie dlatego wznieśli Niemcy ten pomnik, by uczcić twórcę cesar stwa; stawiając go na polskiej zie

mi chcieli oddać hołd wrogowi Polaków, ich języka, ducha i wiary, ojcu złotodajnego hakatyzmu, krzewicielowi zasady „żelazem i krwią,“ apostołowi nienawiści i krzyżaczczyzny.

Nierozważni! Przecież na widok tej postaci każdy, w kim drga struna polska, musi odczuć nienawistne tchnienie niemczyzny, musi objąć sercem krzywdy i bóle swego narodu, zespolić się z nim serdecznie i złożyć hołd — Matce swej męczennicy.

Nie, panowie Niemcy, przed waszym pomnikiem nie ugnie się kolano nasze jak nie ugięła się pod jego ciężarem ziemia polska. Przed tem obliczem usta nasze będą milczeć jak milczały groby ojców naszych na odgłos waszych okrzyków, lecz w sercach grać będzie hymn nasz narodowy. Od waszego żelaza i granitu stokroć silniejszym był, jest i będzie duch polski.

W odpowiedzi na obelgę waszą wskazujemy tylko na Ślązk, który w tej chwili gdy hakata stawiała pomnik Bismarckowi, jeszcze śmielej podniósł głowę wobec nieprzyjaciół i jeszcze piękniej zamanifestował swą polskość. Wasz Bismarck rozpalił tam pierwszy kaganiec poczucia narodowego, odsłaniając przed ludem ślązkim prawdziwe oblicze pruskie i obecnie, gdy wy czcicie Bismarcka, my zbieramy owoce jego polityki, gdy wy święcicie festyn ucisku i nienawiści — my święcimy święto odrodzenia narodowego Ślązka.

Pomnik, który Bismarck wzniósł w zbiorowej duszy narodu polskiego trwalszym jest od bronzu i granitu i nieskończenie piękniejszym, szlachetniejszym od dzieł oficyalnego dłuta. Stając przed waszym pomnikiem, ojciec będzie wskazywać synom ten drugi pomnik na skale słowiańszczyzny.

I to nasza odpowiedź.

Ordon.

Uwagi w sprawie Centralnego Komitetu Wyborczego.

O ile wnosić wolno z licznych objawów zadowolenia i uznania, towarzyszących dotychczasowym pracom około utworzenia Centralnego komitetu wyborczego dla wszystkich Polaków w obrębie Rzeszy niemieckiej, społeczeństwo nasze z zaufaniem i żywą nadzieją spogląda ku tej nowo powołanej do życia a tak niezmiernie doniosłej władzy.

Znane są okoliczności, które doprowadziły do tak pomyślnego rozwiązania sprawy, od lat długiego szeregu teoretycznie już rozstrzygniętej, lecz trwającej w zawieszeniu aż do chwili, gdy wynik wyborów na Górnym Śląsku uczynił ją aktualną.

Odsyłając więc czytelników do osobnego artykułu, zamieszczonego w jednym z poprzednich numerów, w którym daliśmy sprawozdanie ze Zjazdu delegatów w Poznaniu, oraz zarys rozwoju kwestyi, zamierzamy na tem miejscu poświęcić jedynie kilka uwag projektowi Statutu, omówionemu i przyjętemu przez Zjazd delegatów.

Projekt ten, zdaniem naszem, w kilku miejscach potrzebuje poprawek i uzupełnień, które zresztą dałyby się ująć w formę komentarza, o ileby zabraknąć miało sposobności wprowadzenia zmian do brzmienia statutu.

I.) Nie znajdujemy w statucie paragrafu orzekającego, w jaki sposób i przez kogo mogą być wprowadzane do statutu zmiany. Kto ma je uchwalać? czy sam komitet centralny? czy zebranie delegatów w tej formie, jak obradowano w Poznaniu? — Sądzimy, że zebranie delegatów.

Kwestyę tę dlatego z góry rozstrzygnąć należy, że zajść może niezadługo potrzeba zmian do liczebnego stosunku głosów rozmaitych części zaboru.

Górnemu Śląskowi statut dziś nadaje dwa głosy w radzie. Zważywszy, że Księstwo ma tylko 4 głosy, widzimy, że Śląsk — przy obecnym stanie rzeczy — został uwzględniony aż nadto wystarczająco. Biorąc za podstawę repartycyę 50 tysięcy głosów, oddanych przy wyborach, Ślązk powinien by właściwie mieć tylko jeden głos, jeśli Księstwo ma cztery, a Prusy, Warmia i Mazury trzy głosy. Ale nie zapominajmy, że gdy w Księstwie liczba głosów wahać się będzie zawsze w granicach dzisiejszych, — ma Śląsk owe 50 tysięcy głosów padłych w okolicznościach najnieprzyjaźniejszych. Gdy obecnie mamy usankcyonowane władze wyborcze dla Górnego Śląska, opozycya otrzyma uwzględnienie w komitecie, pozbawiona zostanie z góry wszelkich pozorów legalności, gdyby chciała stawiać przeszkody przy wyborze polskich kandydatów. Tembardziej więc dziś powtórzyć możemy to, co dawno już na podstawie skrupulatnych obliczeń „Praca“ stwierdziła: *że Górny Śląsk jest prowincyą, która przynajmniej z sześciu okręgów wyborczych może i będzie wysyłać do Berlina posłów Polaków.*

Statut Komitetu Centralnego nie jest przewidziany ani na jedno, ani na dwa pięciolecia. Śląskowi więc, jako prowincyi budzącej się do życia politycznego, zapewnić z góry należy

Z teatru.

Sobotni wieczór dał nam Sudermanna „Koniec Sodomy.“ Po różnych „Nerwowych,“ „Mężach z grzeczności,“ „Żonatych kawalerach“ i tym podobnych anomaliach było prawdziwą przyjemnością widzieć rzecz dobrą.

Grano „Koniec Sodomy“ dobrze. Od tej uwagi rozpocząć wypada sprawozdanie, gdyż od gry artystów zależy zrozumienie i odczucie dzieła.

Mimo to mam nieco do nadmienienia o kilku pierwszorzędnych rolach. Mojem zdaniem rolę Wilhelma Jänischa należało zagrać z większą werwą, jak to uczynił p. Pawłowski, który oddał ją poprawnie, nadzwyczaj starannie, ale nieco sztywno w początkowych mianowicie aktach. Za mało akcentował pan Pawłowski artystę, który nawet gdy popadnie w bezczynność, rzucając się w wir życia i zepsucia panującego na salonach pani Ady, zachowuje przecież temperament, który go znamionuje i wyróżnia jako twórcę „Końca Sodomy.“

Nie dość swobodną była również gra pana Dobrzańskiego w roli literata. P. Dobrzański jest jednym z najlepszych naszej sceny. Dość przypomnieć jego kreacyą w Gorkiego „Na dnie życia“ w roli barona. Na salonach jednakże brak mu tej wykwintności i łatwości ruchów. Gra jego w roli doktora Weisse była właśnie z powodu tego braku nie dosyć akcentowaną.

Rola pani Ady nie odpowiada bardzo pani Orwidowej, choć przyznać należy, że nie posiadamy w tej chwili artystki, którejby się raczej niż pani Orwidowej należała.

Świetną od początku do końca była gra pani Łąckiej.

Z reszty ról wypada wymienić pannę Gawlikowską w roli Klarci i pana Wiślańskiego w roli Kramera. Oboje wypełnili zadanie swoje dobrze. Nie da się tego rzec o pani Królikowskiej, której nie naturalna dykcya i zbyt zużyte efekty w chwilach najbardziej przejmujących nie wyszły na dobro sztuki.

Całość zostawiła jak najlepsze wrażenie. Ostatni akt mianowicie był zarazem koroną wieczoru.

Wid.

możliwość stopniowego powiększania liczby swych reprezentantów w komitecie. Daj Boże, abyśmy jaknajprędzej tego doczekali, gdy Śląsk, party na swych *120 tysiącach głosów* polskich, zażąda tyleż miejsc w Komitecie, co Księstwo.

II.) Drugą, bodaj jeszcze ważniejszą uwagę nastręcza nam tylekroć omawiany § 10,. zakreślający funkcye Komitetu Centralnego.

Nie chcemy bynajmniej nawet pośrednio wotować za uszczupleniem atrybucyi Komitetu. Owszem, radzibyśmy je o ile możności powiększyć i rozszerzyć, choćby kosztem uszczuplenia władzy komitetów prowincyonalnych, im odleglejsza bowiem sfera działania Komitetu Centralnego, tem większa spójnia pomiędzy pojedyńczemi częściami zaboru —; radzibyśmy przeto w Komitecie widzieć władzę, w której ręku spoczywa rzeczywista najwyższa komenda wyborcza, — bo to by było najlepszą gwarancyą jednomyślności i jednolitości działania wyborców polskich we wszystkich częściach zaboru. — Do zapewnienia tej komendy zmierzał otóż główny i zasadniczy ustęp § 10., opiewając, że Komitet Centralny wyznacza okręgi, w których mają być postawione kandydatury polskie.

Naszem zdaniem ustęp ten potrzebuje bliższego zasadniczego wyjaśnienia. Tak jak my go pojmujemy, ustęp ten składa w ręce Komitetu Centralnego prawo i obowiązek inicyowania akcyi wyborczej w okręgach albo opieszałych, albo takich, które bez tej autorytatywnej interwencyi narażone byłyby na rozłam. (Przykładem Górny Śląsk.)

Ale też można brzmienie tego ustępu pojmować i w ten sposób, że komitetowi Centralnemu przysługuje prawo zadecydowania, że np. w danym okręgu wyborcy polscy wogóle mają zaniechać postawienia polskiego kandydata. Takie pojmowanie tego ustępu z góry należy wykluczyć, bo łatwo by się zdarzyć mogło, że dla względów taktycznych niektóre okręgi, właszcza najsłabsze, systematycznie byłyby przedmiotem kompromisów z uszczerbkiem ich własnego narodowego rozbudzenia.

Stanowisko nasze wobec tej kwestyi dostatecznie jest znane, nie mamy więc potrzeby motywować naszego twierdzenia, że w pierwszem głosowaniu Polacy zasadniczo powinni głosować tylko na swego. I dlatego uważamy za konieczne, aby do statutu wprowadzono ustęp poniższy:

Komitet Centralny nakazać może wyborcom wstrzymanie się od głosowania, lub głosowanie na kandydata obcej partyi już w pierwszem głosowaniu li tylko za zgodą lokalnego komitetu jak niemniej za zgodą komitetu prowincyonalnego, i to z tem ograniczeniem, że odnośna uchwała zapaść musi wyjątkowo wszystkiemi głosami obecnych członków komitetu centralnego.

Przy głosowaniu w wyborach uzupełniających prosta uchwała komitetu Centralnego miarodajną jest dla wszystkich wyborców.

Do tych klauzul skłania nas — wypowiedzmy to otwarcie — obawa, aby Górny Śląsk i wychodźtwo nie zostało majoryzowane w komitecie i przez narzucone kompromisy zatrzymane w połowie rozbudzenia narodowego. To też w interesie sprawy publicznej zwracamy na to uwagę reprezentantów Śląska oraz wychodźtwa, wzywając ich, aby zawczasu zajęli się usunięciem tego niebezpieczeństwa, ukrytego w niedość jasnem brzmieniu § 10-go. Zapóźno będzie na radę wówczas, gdy decyzya Komitetu Centralnego pozbawić może kilka okręgów górnośląskich prawa polskich kandydatów — gwoli centrowcom.

Dalszą uwagę nastręczyć może niedość ścisle oznaczenie udziału wychodźstwa w Komitecie Centralnym. Oprócz Berlina i Westfalii z Nadrenią istnieje szereg kolonii, liczebnie słabszych od Berlina, ale niemniej ruchliwych: Wrocław, Magdeburg, Hamburg, Bremena; — a dalej z dziesiątków tysięcy złożona ludność polska, rozrzucona po Saksonii, prowincyi Saskiej, Hanowerze, Brunświku, Anhalcie. Czy te grupy, w których duch polski bynajmniej nie śpi, mają być wyjęte po za nawias! — a jeśli nie, to czy wysełają delegata łącznie z Berlinem, czy z Westfalią?

Otóż ze względu na to, że Polacy w pięciu okręgach westf. nadreńskich mogą wywrzeć wpływ na wynik wyborów do parlamentu, Westfalia mogłaby się czuć upośledzona, gdyby Berlin sam dla siebie miał w Komitecie tyle wagi, co ona. Dlatego ustanowiono, że całe wychodźtwo w obrębie Prus, po za Westfalią i Nadrenią — łącznie z Berlinem deleguje wspólnego członka.

Pozostaje nam wreszcie jedna uwaga — może zawczesna. Jak wszystkie sprawy osobiste, jest to kwestya bardzo drażliwa — tyczy osoby przyszłego przewodniczącego Kom. Centr.

Niejednokrotnie dawaliśmy wyraz głębokiemu szacunkowi i uznaniu, jakiem otacza nasze społeczeństwo osobę ks. prałata Wawrzyniaka. Jego zasługi pozostaną nazawsze zapisane w dziejach zaboru pruskiego. Z natury rzeczy nasuwają wybór osobistości tak zasłużonej, tak wybitnej na prezesa Komitetu.

Nie ukrywając naszego zdania pod obsłonki domyślników, sądzimy, że wybór ks. Wawrzyniaka na prezesa nie byłby dla Komitetu korzystny. Po pierwsze przez wzgląd na jego udział w „Kur. Pozn.“ —, który od chwili ostatnich zmian wydawnictwa zdradza pewną chwiejność w sprawie centrum i G. Śląska. Po wtóre duchowny charakter ks. prałata nie daje mu zupełnej swobody wobec katolickiego centrum. Przewodniczący zaś komitetu, mającego zawierać kompromisy i to właśnie z centrum, musi mieć zupełnie wolne ręce.

Vester.

Dalsze ofiary.

Jeszcze nie uspokoiły się serca polskie, dotknięte boleśnie skazaniem 60 polskich Ślązaków z powodu zaburzeń wyborczych w Hucie Laury na niezmiernie surowe kary, a już nowe, dalsze przybyły w tej sprawie ofiary. Od dnia 28-go września do 1-go października trybunał przysięgłych w *Bytomiu* sądził ośmiu innych oskarżonych, których prokuratorya uważała za przywódzców, za hersztów w owych rozruchach. Akt oskarżenia zarzucał im, że oni to dali hasło do oporu przeciwko władzy, uwalniając z rąk policyi pierwszego aresztowanego, że sami rzucali kamieniami, że poranili policyantów i żandarmów, że zniszczyli sikawkę straży pożarnej i zachęcali tłum do wybijania szyb w niemieckich domach. Prokurator i obrońcy powołali razem 50 świadków, pierwszy na udowodnienie ich winy, drudzy na wykazanie ich niewinności. Z tych znaczna część zeznawała *korzystnie* dla oskarżonych; nawet liczni świadkowie dowodowi, powołani przez prokuratora, nie byli zupełnie pewni, czy oskarżeni są rzeczywiście tymi, którzy rej wodzili podczas rozruchów. Obciążały ich jedynie zenania żandarmów i policyantów oraz kilku innych świadków z charakterem mniej lub więcej urzędniczym. Lecz właśnie te zeznania wystarczały przysięgłym do wydania werdyktu, uznającego oskarżonych *winnymi* zarzucanych im zbrodni.

Naprożno i w tym procesie obrońcy, których było siedmiu (między nimi jeden tylko Polak — adwokat dr. *Seyda)* starali się wykazać, że zeznania dowodowych świadków nie są zupełnie pewne, że trzeba brać na uwagę jako moment uniewinniający rozdrażnienie tłumu, bo działo się to przecie wśród zaciętej walki wyborczej; prokurator obstawał przy akcie oskarże-

nia, nie chciał prz... łagodzących o... ...zmać oskarżonym zmiern... ...okoliczności i wniósł o nie... ...e surowe, wprost srogie kary. Wywodził on między innemi, że jeżeli już 60 oskarzonych o mniejsze wybryki w poprzednim procesie ukarano surowo, to *jeszcze surowiej* ukarać należy tych — rzekomych — głównych winowajców.

Sąd nie we wszystkiem przychylił się do wniosku prokuratora, mimo to po krótkiej naradzie następujący ogromnie ostry wydał wyrok:

Oskarżeni 1) górnik *Gojny*, skazany na 6 lat ciężkiego więzienia, utratę praw obywatelskich i nadzór policyjny; 2) blacharz *Grajcarek*, na 5 lat zwykłego więzienia; 3) robotnik *Mrozek* i 4) górnik *Barczyk* na $3^1/_2$ roku więzienia; 5) cieśla *Kot* i 6) górnik *Karmus* na 4 lata; 7) robotnik *Fabian* na 5 lata; 8) monter *Weiss* na 2 lata i 3 miesiące więzienia.

Razem wynoszą te kary: *6 lat „zuchthauz..."* i *25 lat więzienia*, a wraz z karami, na które skazano 60 oskarżonych w pierwszym procesie: *6 lat ciężkiego, 69 lat zwykłego więzienia* i *830 marek kar pieniężnych.*

Zdanie nasze o tych procesach, ich ...ich *właściwych* i towarzyszących im okolicznościach, a także o pierwszym wyroku już wypowiedzieliśmy. Nasza ocena pierwszego wyroku stosuje się i do tego drugiego, z tą chyba tylko różnicą — że gdybyśmy ją powtórzyli teraz po drugim wyroku, bardziej jeszcze trzymać by trzeba na wodzy pióro, bo lało by się z niego jeszcze większe wzburzenie, jeszcze sroższe uczucie goryczy. To tylko dziś dodamy, że ten wyrok pogłębił jeszcze *przepaść* między Niemcami a nami, że obok *Wrześni* odtąd także nazwa *Huty Laury* wszystkim pokoleniom naszym targać będzie serca i pobudzać je do coraz zaciętszej walki w obronie praw naszych. Niemcy nie zrozumieli pobudek, które te ofiary systemu pruskiego popchnęły do wybryków, ani ich nie uwzględnili; my nawzajem nigdy nie wybaczymy im przyczyn i motywów, które wydały oba te surowe wyroki. Cios ponownie nam zadany jest zbyt ciężki — iżbyśmy kiedykolwiek o nim *zapomnieć mogli.*

Lecz w walce, w której te wyroki są tylko ponurymi epizodami, nie należy tracić zimnej krwi. My, mimo bólu, jaki nam sprawiły, napewno ją zachowamy. Z całym spokojem też wysnuwać będziemy z tych epizodów dalsze właściwe konsekwencye.

Na razie na dwie okoliczności zwracamy jeszcze uwagę.

Jak już poprzednio zaznaczyliśmy broniło oskarżonych w tym drugim procesie kilku Niemców, a tylko jeden Polak, dr. *Seyda.* Czterech z tych niemieckich obrońców również kładło nacisk na moment psychologiczny rzekomej winy oskarżonych. Jakże odmienne atoli od naszych były ich zapatrywania? Usiłowali oni zwalić całą winę na wzmagający się *ruch polski na Śląsku.* — Na szczęście — to z gruntu *fałszywe*, oszczercze wprost twierdzenie i usiłowanie znalazło doskonałą odprawę ze strony dr. *Seydy.* Dzielny ten obrońca oświadczył z całym naciskiem:

„Nadmieniono tutaj, że moralna odpowiedzialność spotyka tych, którzy lud systematycznie *podburzali.* Wobec tego stwierdzam, że nie mniej jest rozpowszechniona opinia, iż moralna odpowiedzialność za nieszczęścia, które wskutek rozruchów spadły na lud górnośląski, zaciąży na tych, — (podniesionym głosem) — którzy *stworzyli obecne nieszczęsne stosunki wśród ludu, którzy bezwzględnem swem postępowaniem wywołali tak silne rozgoryczenie, iż z łatwością przez samo przedstawienie krzywd tych było można „lud podburzać.“*

Drugą, niemniej ostrą a słuszną odprawę dał dr. *Seyda* także prokuratorowi.

Powoływanie się na wymiar kar ze strony izby karnej — powiedział dzielny ten obrońca, uważam *za niedozwolone i niesłuszne.* Niedozwolonem jest ono dla tego, ponieważ Panowie sądzić macie *bez uprzedzenia*, li tylko na mocy wrażenia, jakie niniejsze rozprawy na Was zrobiły. Powoływanie się na wspomniany wyrok rzeczowo słusznem by tylko wtenczas było, gdybyście Panowie ów wymiar kary za sprawiedliwy uważali. Sądzić o tem nie możecie, boście moi Panowie, na rozprawach nie byli obecni. W każdym razie zwracam Wam na to uwagę, że nie tylko organa partyi rządowi przeciwnych, lecz także gazety stojące na stanowisku ściśle narodowo niemieckiem wyrok ten uważają za zbytnio *surowy i niewłaściwy!“*

Siła faktów nasuwa więc pytanie, dla czego bronił oskarżonych tylko *jeden Polak?* Wyjaśnienie, jakie daje nam „Górnoślązak,“ nie wystarcza. Pisze on, co następuje:

„Mamy tu na Śląszku sporą liczbę adwokatów Polaków, ale tylko jeden z nich p. dr. Seyda nie szczędził trudów i czasu, aby się zająć także w drugim tym procesie losem oskarżonych, zupełnie bezinteresownie. On jedyny pozostał wierny nieszczęśliwym skazańcom i stał do ostatniej chwili na wyłomie, aby przeciwnicy nasi nie skorzystali ze sposobności i nie napadali niesłusznie na tak pięknie rozwijający się nasz ruch narodowy na Śląszku.“

Dla czego inni nie pospieszyli na wyłom?

Zamiast rozstrząsać przypuszczalnie przyczyny abstynencyi innych polskich adwokatów górnośląskich, my dziś tylko stwierdzimy, że właśnie ten wypadek wykazuje, jak bardzo nam jest *potrzebna instytucya biura obrony prawnej*, któraby w takich razach zająć się mogła organizacyą obrony nietylko takich oskarżonych, ale także praw i czci *naszego społeczeństwa.* Bo — jak widzimy — i na tę cześć i na nasze prawa godzą takie procesy....

W końcu wskażemy na jeden jeszcze rys znamienny. Przypadek zrządził, że równocześnie niemal na zachodzie Niemiec toczył się proces — *bardzo podobny* do laurahuckiego, który dowiódł, jak *rozmaicie* sądzą trybunały pruskie wchodzące w grę w takich razach „zbrodnie“ i „winy.“ W *Friedbergu w Hesyi* stawało przed sądem kilkudziesięciu oskarżonych, chłopów *niemieckich*, którzy również podczas walki wyborczej zburzyli dom pewnego agitatora socyalistycznego, ciężko pobili tak jego jak i jego żonę i syna, oraz poturbowali tych, którzy im pospieszyli na pomoc. Tych „zbrodniarzy“ powołano jedynie przed sąd *ławniczy*, a skazano na kary *pieniężne* od 30 do 200 marek. Lud polski i ten wyrok dobrze sobie spamięta, a jakie z porównania obu spraw wysnuje wnioski, tego już — *na razie się niedowiemy.*

Szereg ofiar zaburzeń w Hucie Laury nie jest podobno jeszcze zamknięty. Jak donoszą gazety niemieckie, zanosi się na to, że inni jeszcze rzekomi uczestnicy tego żywiołowego porywu odpornego polskiego ludu dostaną się przed kratki sądowe. Bolejemy już naprzód nad ich losem, lecz pocieszamy się przytem wspomnieniami z dziejów *pierwszych Chrześcian.* I oni podobnie cierpieli, a z ich cierpień, łez i krwi wyrósł potężny gmach Kościoła Bożego....

Raciborzanin.

Odezwa.

Polskie towarzystwo wyborcze i polskie towarzystwo ludowe uznając, że stan niezgody w społeczeństwie naszem wywołany wyborami do parlamentu tak katolickiej, jak i polskiej

sprawie niepowetowane szkody przynieść musi, zbliżyły się do siebie w imię dobra ludu polskiego, dla którego oba równie dobrą wolą są ożywione, i uwzględniając wszelkie okoliczności, które uwzględnić należało, na następujących zasadach zawarły zgodę:

1.) Lud polski na Śląsku ma przyrodzone i nadprzyrodzone prawo do swojej narodowości.

Z tego wynika, że lud polski jest uprawniony do wszelkich dążeń, ażeby godziwymi środkami starać się o zachowanie i rozwój swojej narodowości pod każdym względem i to na mocy konstytucyi, która nakładając obowiązki na obywateli, nadaje im prawa.

2. Lud polski ma przeto odnośnie do wyborów to samo prawo, jakie bezsprzecznie każdy naród posiada, aby wybierać posłów swojej narodowości, to jest Polaków. — I to prawo wynika z konstytucyi państwowej.

W uznaniu tych prawd i praw, których słuszności nikt ze sprawiedliwych ludzi zaprzeczyć nie może, postanowiły oba towarzystwa utworzyć władzę wyborczą pod nazwą: *„Polski komitet wyborczy dla Śląska,“* którego podstawą jest uznanie narodowo polskiego stanowiska przy wyborach, a celem zabiegi około wyboru posłów Polaków.

W poczuciu wspólności narodowej z resztą narodu polskiego w Prusiech, wyśle polski komitet wyborczy dla Śląska dwóch delegatów do polskiego komitetu centralnego na rzeszę niemiecką.

Co do nadchodzących wyborów sejmowych oba towarzystwa zgodziły się, uwzględniając istotny stan rzeczy, a mianowicie jawność wyborów i ekonomiczną zależność wyborców, ażeby polski komitet wyborczy we wszystkich okręgach wyborczych Śląska zachował przy wyborach tymczasowo abstynencyą (to znaczy nie zajmował stanowiska, nie mieszał się do wyborów) z wyjątkiem okręgu pszczyńsko-rybnickiego, gdzie mają zostać postawieni kandydaci do Koła polskiego. Stanowisko nasze w tym okręgu opiera się na fakcie, że w nim przy wyborach do parlamentu oddano głosów polskich na kandydata Koła polskiego 13,000, na kandydata centrum około 8,000; większość wyborców zatem dała niedwuznacznie poznać przy wolnych i żadnymi względami nie tamowanych wyborach do parlamentu wolę swoją w tym kierunku.

Stosownie do tej uchwały polski komitet wyborczy dla Śląska będzie kierował wyborami.

Ze względu na dobro sprawy katolickiej, nam Polakom równie świętej jak katolikom innych narodowości, dodajemy, że abstynencyą rozumiemy, jak oczywista, tak, iż nikomu z katolickich wyborców polskich nie wolno głosować na wroga katolicyzmu lub polskiej narodowości.

Do polskiego komitetu wyborczego dla Ślązka wybrało polskie towarzystwo ludowe 10 członków, i to pp.: 1) Eckert Jan z Gliwic, 2) Dr. Hylla Piotr z Katowic, 3) Mateja Jan z Królewskiej Huty, 4) ks. proboszcz Pendziałek Antoni z Boguszowic, 5) Dr. Parczewski Bogusław z Bytomia, 6) Rassek Wojciech z Tworoga, 7) Dr. Różański Maryan z Gliwic, 8) Ruda Ludwik z Pyskowic, 9) Sieroń Antoni z Rudy, 10 ks. proboszcz Skowroński Aleksander z Ligoty.

Do tegoż komitetu wybrało polskie towarzystwo wyborcze 10 członków i to pp.: 1) Dr. Adamczewski Stefan z Katowic, 2) Hanke Maksymilian z Bytomia, 3) Kopczyński Józef Kalasanty z Niemieckich Piekar, 4) Ligoń Adolf z Katowic, 5) Dr. Miecznikiewicz Ildefons z Katowic, 6) Neumann Franciszek z Siemianowic, 7) Dr. Rostek Józef z Raciborza, 8) Dr. Seyda Zygmunt z Katowic, 9) Stęślicki Jan Nepomucen z Siemianowic, 10) Dr. Trzebiatowski Kaźmierz z Koźla.

Po utworzeniu się polskiego komitetu wyborczego dla Ślązka

polskie towarzystwo ludowe przestaje być władzą wyborczą,

polskie towarzystwo wyborcze rozwiąże się i poleci członkom swym wstąpienie do to[illegible]stwa ludowego.

Zarząd towarz[illegible]a wyborczego.

Zarząd towarzystwa ludowego.

Powołani zaufaniem obu powyższych towarzystw do objęcia steru spraw wyborczych ludu polskiego na Ślązku, donosimy, iż ukonstytuowaliśmy się jak następuje:

Zarząd stanowią panowie: 1) ks. Pendziałek Antoni z Boguszowic jako przewodniczący, 2) Stęślicki Jan Nepomucen z Siemianowic jako zastępca przewodniczącego, 3) Dr. Różański Maryan z Gliwic jako sekretarz, 4) Ligoń Adolf z Katowic jako skarbnik.

Rodacy!

Zgoda i jedność zapanowała w obozie polskim. Czego Polacy na Ślązku i w całej Polsce z niecierpliwością wyczekiwali, nastąpiło: oba zwaśnione obozy bratnie połączyły się do wspólnej pracy. Zarząd polskiego towarzystwa wyborczego na Śląsk z chęcią przyjął dłoń podaną mu przez polskie towarzystwo ludowe.

Podjąwszy się trudnego lecz wdzięcznego zadania, będziemy się ściśle trzymali zasad, podanych powyżej przez zarządy obu towarzystw.

Rodacy! Potężni i groźni przeciwnicy nasi, nieubłagany system, którym z nami walczą — lecz potęgi te z pewnością się rozbiją o mur piersi polskich, bo dziś im przeciwstawić możemy jeden zgodny i karny obóz polski. Skutki tej jednostki niebawem się okażą, bo kilka zaledwie tygodni dzieli nas od wyborów sejmowych.

System wyborczy, na mocy którego te wybory się odbywają, już Bismark nazwał najmarniejszym ze wszystkich systemów wyborczych. Nadaje on za wielkie przywileje możnym, z krzywdą ludu pracującego. Oprócz tego wybory są jawne; uniemożliwiają więc ludziom zależnym oddanie głosu według sumienia.

Chociaż więc, co do powodzenia akcyi naszej wyborczej żadnym złudzeniom oddawać się nie możemy, postanowiliśmy celem zadokumentowania naszego zasadniczego stanowiska, postawić jako kandydatów do Koła Polskiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim pp.:

1) Kowalczyk Jan, Redaktor z Katowic,
2) Pardygoł Teofil, gospodarz z Cioska p. Czerwionka,
3) Początek Emanuel, gospodarz z Tychów.

Ludzie to ze wszech miar godni i znani, to też sądzimy, że obywatele w tym okręgu z radością ich zamianowanie przyjmą i z tem większą gorliwością i zapałem do pracy przedwyborczej się zabiorą.

Szczęść Boże polskiemu ludowi.

Polski Komitet Wyborczy dla Śląska.

Ks. Antoni Pendziałek.

Jan Nep. Stęślicki. Dr. Maryan Różański. Adolf Ligoń. Dr. Stefan Adamczewski. Jan Eckert. Maksymilian Hanke. Dr. Piotr Hylla. Józef Kopczyński. Jan Mateja. Dr. Ildefons Miecznikiewicz. Franciszek Neumann. Dr. Bogusław Parczewski. Dr. Józef Rostek. Ludwik Ruda. Wojciech Rassek. Dr. Zygmunt Seyda. Antoni Sieroń. Ks. Aleksander Skowroński. Dr. Kaźmierz Trzebiatowski.

Delegatami do polskiego komitetu centralnego wybrano panów: Ks. prob. Skowrońskiego z Ligoty i dr. Hankego z Bytomia, a zastępcami tychże dr. Różańskiego z Gliwic i dr. Rostka z Raciborza.

Z. P. K. W. d. S.

Kronika przedwyborcza.

Nie od dziś wiadomo, że poseł Józef *Głębocki,* jest solą w oku konserwatystów. Niejednokrotnie zaczepiano go na łamach „Dziennika“ i „Kuryera,“ ale dopiero teraz zdobyli się

zachowawcy na akcyę przeciw niemu. Donoszono nam z okręgu wrzesińsko-średzko-śremskiego, że żywioły wsteczne prowadzą tam silną agitacyą przeciw posłowi Głębockiemu a sprężyną tejże jest *jeden z kolegów* posła Głębockiego w sejmie i parlamencie, którego uważamy za szczególnego wroga prądu demokratyczno-postępowego.

Przed wyborami do parlamentu „*Dzien. Pozn.,*" jak się okazało, całkiem niesłusznie robił zarzut posłowi Głębockiemu, [illegible] w Pleszewie agitował przeciwko posłowi [illegible] niemu, i wytykał mu brak koleżeńskości. Teraz wszakże, chociaż musi wiedzieć o tem, że jeden z kolegów agituje przeciwko posłowi Głębockiemu, milczy i nie występuje z zarzutem braku koleżeńskości, bo ów niekoleżeński poseł należy do jego obozu. Poseł ludowcowy może być niekoleżeńskim, konserwatywnym nigdy. Ja Bauer das ist was anderes!

Komitet powiatowy średzki nie postawił posła Głębockiego wcale na liście kandydatów. Natomiast dostał się na nią: X. prał. *Jażdzewski* oraz X. prał. Stychel i mec. Woliński. Czy komitet wrzesiński wysunie kandydaturę posła G. nie jest rzeczą pewną.

Wobec tego żywioły postępowe, powinny zmobilizować się przeciwko ugodowcom i konserwatystom i stanąć mężnie w obronie swego znakomitego przedstawiciela, na którego mogą być dumni. Nie wątpimy, że przeprowadzą swego posła na wszystkich innych zebraniach, lecz ostrzegamy przed opieszałością i lekceważeniem przeciwników, którzy przy tych wyborach szukają odwetu za klęskę przy wyborach do parlamentu i poruszają wszystkie sprężyny przeciwko posłowi Głębockiemu.

Chwytają się między innemi metody praktykowanej przed wyborami do parlamentu, urządzając *wiece cichaczem.* Naturalnie dzieje się to — w *Krotoszynie,* który poddaje się niewolniczo sztuczkom ugodowym. Pomimo, że uskarzano się na to, iż wiece urządza się tam w dni powszechne, tym razem znowu komitet miejscowy chwyta się tej samej sztuczki i zwołuje wiec na *wtorek,* cichutko, aby jaknajmniej ludzi brało w nim udział. Wiece krotoszyńskie stają się notoryczne! Ks. prałat Jażdzewski chwalił się w izbie przed ministrami, że w jego okręgu odbywa się bardzo mało wieców, a teraz będzie mógł dodać, — jeżeli zostanie wybrany do sejmu, że urządzają się tak, by *nie* budziły ducha obywatelskiego i narodowego.

Wynik tego wieca jest nam w tej chwili jeszcze nie znanym, lecz będzie pewnie odpowiadał życzeniom szlachetnego komitetu.

W okręgu kościańsko-śmigielsko-grodzisko-nowotomyskim odbyły się dwa wiece. I tak w Grodzisku, gdzie uchwalono następującą listę kandydatów: 1) dr. F. Niegolewski. 2) Fr. Morawski. 3) dr. Skarżyński. 4) Adam hr. Żółtowski, oraz w Śmiglu, gdzie przeszła lista: 1) Fr. Morawski, 2) dr. Skarżyński 3) ks. Mojżykiewicz.

W okręgu odolanowskim, odbył się wiec w *Ostrzeszowie,* gdzie wywiązała się szermierka pomiędzy konserwatystami i zwolennikami dr. Dziembowskiego, a demokratami, którzy proponowali na drugie miejsce i przeprowadzili hr. Macieja Mielżyńskiego z Chobienic. Przyjęto następującą listę: dr. Ludwik Mizerski, hr. Maciej Mielżyński i dr. Felicyan Niegolewski.

Zwolennicy kandydatury dr. *Dziembowskiego* coraz trudniejsze będą mieli zadanie, bo podobno dr. Dziembowski miał pomagać swemu b. ugodowemu koledze w agitacyi przeciwko posłowi Głębockiemu w Średzkiem. A przez takie postępowanie nie zaskarbi sobie względności w kołach demokratyczno-postępowych, lecz odstraszy od siebie tych, którzy przez wzgląd na jego niepoślednie zdolności adwokackie i retoryczne, nie sprzeciwiali by się jego kandydaturze. Jeżeli dr. Dz. staje na stanowisku politycznem i taktycznem posła Jażdżewskiego, nie może liczyć na wzgląd w szeregach ludowych i, wyparty z parlamentu, nie wejdzie także w skład posłów sejmowych.

W *Witkowie* odbył się wiec, na którym stawiono na kandydatów: dyr. L. Grabskiego, dr. Dziembowskiego i Adama Żółtowskiego z Jarogniewic.

W *Prusach Zachodnich* odbyły się w ostatnich dniach dwa wiece i to w Toruniu, gdzie kandydatami zostali 1) p. Donimirski z Łysomic, 2) ks. Odrowski z Nawry, 3) p. Marszewski z Torunia, oraz w Drzycimiu, w powiecie świeckim, gdzie postawiono kandydatury p. Sas-Jaworskiego i ks. prob. Cyny.

Komisarzami wyborczymi w W. Ks. Poznańskiem są mianowani w poznańskim obwodzie rejencyjnym: na miasto Poznań prezes policyi Hellmann; na okręg, obejmujący powiaty wschodnio i zachodnio-poznański oraz obornicki landrat Klitzing w Obornikach, na okręg szamotulsko-międzychodzko-skwierzyński landrat Brandis w Skwierzynie, na okręg międzyrzecko-babimojski landrat Hayessen w Wolsztynie, na okręg grodzisko-nowotomysko - kościańsko - śmigielski landrat Behrnauer w Kościanie, na okręg wschowsko - leszczyński - rawicko - gostyński landrat Lucke w Gostyniu, na okręg śremsko-średzko-wrzesiński landrat dr. Rose w Środzie, na okręg pleszewsko-jarocińsko - krotoszyńsko-koźmiński landrat Hahn w Krotoszynie, na okręg odolanowsko-ostrowsko-kępińsko-ostrzeszowski landrat Scheele w Kępnie.

Q.

Na przekór hakacie!

Tym, którzy w ciężkiej walce z przemocą niemiecką upadają na duchu, którzy z trwogą spoglądają w przyszłość lub wątpią już o ostatecznem zwycięstwie świętej naszej sprawy, radzimy ponownie, aby bacznie przeglądali doroczne sprawozdania naszego „*Związku spółek zarobkowych,*" aby zwłaszcza przestudyowali z uwagą sprawozdanie ostatnie, za rok 1902, wydane mniejwięcej przed miesiącem. Ręczymy za to, że gdy ze zrozumieniem rzeczy zagłębią się w objęte niem cyfry, gdy wezmą pod rozwagę fakta, o których liczby te świadczą, pozbędą się wszelkich czarnych myśli i znów zaczną „*ufać i wierzyć,* ufać w niezwyciężone siły naszego społeczeństwa i pomoc Bożą, wierzyć w szczęśliwszą dla nas przyszłość.

Wiadomo, że dziś walka, jaką nam wydała hakata, przeniosła się głównie na pole *ekonomiczne,* że wrogowie nasi, pragnąc złamać naszego *ducha, usiłują* najpierw zniszczyć lub osłabić nasze ciało, wydziedziczyć nas z roli, zrujnować cały nasz handel i przemysł, odebrać nam wszelkie inne doniośliejsze źródła zarobkowe, podkopać nasz samodzielny byt materyalny i zamienić nas na tłum bezdomnych niemal proletaryuszy, skazanych na ich łaskę. Otóż cyfry w owych sprawozdaniach wykazują wymownie, że usiłowania wrogów naszych w tym kierunku nie odnoszą dotychczas skutku, co więcej, że zamiast zbliżać się — oni *oddalają* się nawet coraz bardziej od tego upragnionego celu. Gdyby bowiem te ich wysiłki odnosiły jakikolwiek przez nich pożądany skutek, musiałyby to odczuć w pierwszym rzędzie nasze *Banki ludowe i Spółki zarobkowe,* te zbiorniki oszczędności żyjącego jedynie z pracy swej ogółu naszego. Społeczeństwo, które ekonomicznie upada, nie tylko że nic już nie odkłada, ale nawet zużywa mniej lub więcej szybko to, co dawniej odłożyło, nagromadziło na czarną godzinę. Tymczasem sprawozdania naszych spółek nie tylko, że nie wykazują ubytku lub chociażby tylko zastoju w składanych w nich kapitałach, lecz przeciwnie znaczny, bardzo znaczny *przyrost.* Wynika z tego jasno jak na

dłoni, że ogół nasz nietylko że nie *ubożeje*, lecz że — na *przekór hakacie* — powoli wprawdzie lecz stale *coraz bardziej się dorabia*, coraz większe gromadzi zasoby, jako podstawy do dalszego pomyślnego rozwoju.

Właśnie zaś ostatnie sprawozdanie *Związku spółek* zawiera cyfry, które stanowią radosną wprost dla nas *niespodziankę*. Mimo bojkotu hakatystycznego, mimo coraz nowych spadających na nas ciosów, zasoby nasze w Spółkach wzrosły w roku 1902 *tak znacznie, jak nigdy jeszcze, odkąd Spółki nasze istnieją*.

Posłuchajmy tylko: *Udziały* w Spółkach podniosły się o blisko *milion*, bo z 8,275,000 — na *9,218,000 marek; fundusze rezerwowe* o trzecią część miliona, bo z 3,249,000 na *3,613,000 mrk. depozyta* zaś, czyli składane w Spółkach oszczędności, ten najpewniejszy barometr naszego położenia ekonomicznego *o przeszło 7 milionów* — bo z 42,249,000 na *49,282,000 marek*. Takiego przyrostu nie wykazywał dotychczas żaden inny rok w dziejach naszych Spółek, najpomyślniejsze przynosiły nam zwyżki cztero lub pięcio milionowe. Czyż wobec tych cyfr można mówić o jakiemkolwiek ekonomicznem cofaniu się społeczeństwa naszego? To byłoby przecie nonsensem!

Odpowiednio do tych cyfr wzrósł także *obrót* roczny naszych Spółek i banków, podniosły się ich *zyski*. O dobrej zaś w nich gospodarce poświadczy fakt, że podczas gdy *zyski* te wynoszą 871,620 mk., o 80,000 więcej niż w r. poprzednim, *straty* dosięgły zaledwie kwoty 25,750 mrk. i mimo zwiększonego obrotu nie były wyższe niż w poprzednim roku. Razem przybyło nam w roku 1902 przeszło *9 milionów* kapitału, tak że mamy w spółkach już *przeszło 60 milionów marek* — nie licząc banków *śląskich*, które również już nagromadziły około 15 mliionów. Nie wiele to wprawdzie wobec kolosalnej potęgi materyalnej Niemiec, ale dopóki to wzrasta — jest gwarancyą, że *na śmierć głodową nie ma nam się jeszcze*, że nawet śmiało spoglądać możemy w przyszłość!

Jeżeli atoli ten rezultat rozwoju naszych Spółek w roku ubiegłym uważamy za wprost wspaniały — nie zamykamy oczu także na *ujemne* jeszcze strony w naszem życiu ekonomiczno-zarobkowem i dorobkowem. Tą stroną ujemną zaś jest, że zawsze jeszcze więcej u nas jest takich, co *potrzebują* pieniędzy, niż takich, co dać je mogą — lub składać w Spółkach do publicznego użytku. Naprzeciw bowiem liczbie 62,000 *członków Spółek*, a więc przeważnie, w ogromnej swej większości potrzebujących kredytu — stoi tylko liczba niespełna 54,000 *deponentów*, czyli tych, którzy mają więcej, niż potrzebują. To jeszcze stosunek nieprawidłowy, to się jeszcze zmienić *musi*. Wówczas też dopiero „hosanna“ zaśpiewać będziemy mogli, gdy liczba deponentów przewyższy liczbę członków conajmniej *trzy* lub *czterokrotnie*.

Na pociechę naszą stwierdzić możemy, że i w tym kierunku kroczymy naprzód dość szybko. Podzielamy też zdanie Patronatu Spółek, wypowiedziane w „sprawozdaniu,“ że z ich rozwoju w ubiegłym roku zupełnie zadowoleni być możemy. Oby tak zawsze było!

* * *

W ścisłym stosunku z Spółkami naszemi istnieje i pracuje jeszcze jedna nasza instytucya finansowa, stworzona dla nich — lecz do ich grona nie należąca: *Bank Związku Spółek Zarobkowych*, bank akcyjny, którego akcye znajdują się w ręku nietylko Spółek, lecz także osób *prywatnych*. Bank ten założony został w roku 1885 na to, aby był niejako środowiskiem Związku, brał z jednych Spółek zbyteczny chwilowo, odłogiem leżący kapitał, a dawał drugim, potrzebującym większego kredytowego zasiłku dla swoich członków. W roku 1886 posiadał „Bank Związku“ funduszu rezerwowego 557 marek, a depozytów 92,607 mrk.

Dziś po 17 latach ta sama instytucya rozporządza funduszem rezerwowym wysokości *298,584 marek*, ma w swych kasach depozytów obcych na *sumę 8,666,776* marek; miała obrotu w roku ubiegłym wysokości *161 milionów marek*, a wygospodarowała czystego zysku *107,565* marek.

Był czas — przed czterema laty, że nieuzasadniona, jak się później okazało, kampania kilku dzienników przeciwko tej instytucyi podkopała znacznie zaufanie publiczności do niej, wskutek czego wówczas depozyta w niej złożone zmalały z 6,114,000 na 5,248,204 mrk. Lecz trwało to tylko krótko. Znakomite kierownictwo banku dowiodło rychło, że wszelkie obawy są uzasadnione, to też w lot wróciło ogólne zaufanie, tak że dziś znów Bank Związku obraca *8½ milionami* depozytów. Dziś „Bank Związku“ jest nietylko regulatorem interesów poszczególnych Spółek, ale także najdogodniejszem źródłem kredytu dla budujących domy w Poznaniu i dla tych, którzy przez zręczną parcelacyę *ratują ziemię ojczystą od przejścia w obce ręce*.

Kierownikiem *Związku Spółek* jest ks. Prałat *Wawrzyniak*, kierownikiem *„Banku Związku“ p. dyr. Kusztelan*. On to z małych początków stworzył ten wspaniały gmach bankowy, stworzył instytucyę, jakiej w zaborze pruskim *jeszcze nie mieliśmy*.

Góruje ona dziś ponad wszystkiemi naszemi instytucyami finansowemi w zaborze pruskim pod względem wysokości powierzonych jej kapitałów i rozległości interesów, a przyświeca wszystkim dobrym przykładem ostrożnej a rozumnej, wytrawnej i przedsiębiorczej gospodarki finansowej.

Cześć za to panu dyr. *Kusztelanowi* — a szczęść Boże nadal tej powierzonej mu *największej* naszej instytucyi bankowej.

Mamy w naszych Spółkach kapitałów około *60 milionów*; w Banku Związku około 9 milionów, — i kapitały te wzmagają się z każdym rokiem na pożytek i zbawienie żywiołu polskiego a na *przekór* hakacie niemieckiej. W górę serca! rodacy!

J. K. M.

Z TYGODNIA.

I ubiegły tydzień nie przyniósł Europie rozstrzygnięcia kwestyi *bałkańskiej*, a specyalnie *macedońskiej*. Szumne noty *Austryo-Węgier i Rosyi* do rządu *tureckiego*, o których pisaliśmy w zeszłotygodniowym naszym przeglądzie politycznym odniosły jedynie ten skutek, że sułtan wydał znów kilka „iradeów“ do swych prawowiernych baszów i gubernatorów, ażeby za nadto nie masakrowali chrześcian. Prawowierni zaś baszowie i gubernatorowie, odebrawszy te pisma, pokłonili się trzykrotnie w stronę Mekki i Carogrodu, pochwalili Ałłaha, zapalili fajki, no i nadal spokojnie spoglądali na to, jak prawowierne baranki Kalifa, redyfowie, ilawowie, spalisowie i baszybożukowie kąpią się we krwi chrześciańskiej. W tym kierunku więc noty mocarstw żadnej nie osięgły zmiany. Zapowiedziana w nich kontrola nad postępowaniem władz tureckich pozostała — frazesem; dziś nikt nie wie jeszcze, jak ta kontrola wyglądać będzie w praktyce i czy wogóle doczeka się praktycznej szaty! Powstanie trwa dalej; naprężenie między *Turcyą a Bułgaryą* również w niczem nie złagodniało. Zdawało się nawet na chwilę, że bezpośrednio grozi już wybuch wojny. Pewien batalion turecki „przez omyłkę“ bowiem wkroczył na terytoryum bułgarskie i również „przez omyłkę“ zrabował wieś bułgarską. Wojsko bułgarskie wprawdzie wzięło Turkom za złe tę omyłkę i przetrzepawszy im wierzchnią pcwłokę ciała przepędziło znów na terytoryum tureckie, ale obawa, że to nareszcie wywoła wybuch, nie spełniła się. Przeciwnie, pojawiły się

znów pogłoski, że między Turcyą a Bułgaryą toczą się dalej układy mające na celu obustronne rozbrojenie. I te pogłoski nie przybrały jednakże pochwytniejszej formy. Faktem jest tylko, że do Carogrodu udał się najwytrawniejszy dyplomata bułgarski *Nacowicz,* aby nawiązać z Turcyą rokowania pokojowe. Po za tem nikt nie wie nic pewnego, i tak samo możliwem jest, że jutro powstańcy broń złożą i że znów zapanuje tam pokój, jak i to, że już jutro zabrzmi na całej linii surma wojenna. Europa boi się *czynów, boi* się wojny, więc na wszelkie swoje rany przykłada tylko plaster za plastrem, chociaż wie dobrze, że wyleczyć ją może jedynie ostry nóż operatora. Dyplomaci zdają się nie widzieć tego lub lub niechcą może widzieć, że *takie* leczenie wrzodów i ran politycznych musi w końcu na cały polityczny organizm Europy sprowadzić niebezpieczną gangrenę.

Śmiała i dzielna *Bułgarya* nie wahałaby się może ani na chwilę użyć w sprawie macedońskiej noża operatorskiego, gdyby jej całą siłą nie trzymała za poły *Rosya.* Doszło podobno do tego, że Rosya oświadczyła w Carogrodzie, iż w razie, gdyby Bułgarya mimo przestróg rosyjskich rozpoczęła wojnę i została pobitą, rząd rosyjski nie miałby nic przeciwko temu, gdyby Turcya oderwała znów od własnej Bułgaryi przyłączoną do niej w roku 1885 wschodnią *Rumelią.* Rosya nie pragnie na razie zawikłań w Europie, bo ma przed sobą poważną rozprawę w *wschodniej Azyi.*

Dnia 8 bm. minął trzyletni termin, jaki rząd rosyjski sam sobie wyznaczył do opuszczenia i oddania *Chinom Mandżuryi.* Termin minął — a Rosya ani myśli ustąpić z wielkiej tej i żyznej *prowincyi chińskiej. Wywołało* to nowe wzburzenie w *Anglii i w Japonii.* Ostatnie to zwłaszcza mocarstwo dąsa się bardzo i grozi Rosyi wojną, do czego podnieca je Anglia. I tu ważą się losy z dnia na dzień, i tu nikt przewidzieć nie może co nam jutro przyniesie? W odpowiedzi na tę oczywistą *aneksyę Mandżuryi Japonia* zamierza zająć graniczącą z Mandżuryą *Koreę.* Pierwszy krok ku temu już uczyniła — zająwszy koreańskie miasto *Mazampo.* Do tej chwili nie wiadomo jeszcze, co na to Rosya powie. Jeżli rzeczywiście przyjdzie między nią a Japonią do wojny, będzie to widowisko arcyciekawe. Po raz pierwszy bowiem wojska tego azyatyckiego mocarstwa, które tak kolosalne postępy poczyniło w kulturze europejskiej, zmierzą się z wojskami europejskiemi.

Car Mikołaj inny jeszcze ma kłopot, Zamierzał on wkrótce odwiedzić króla *włoskiego w Rzymie* a przy tej sposobności także *Piusa X.* Donosiliśmy już, że socyaliści włoscy postanowili urządzić podczas jego pobytu w Rzymie wielkie *anticarskie demonstracye.* Teraz rozeszła się wieść, że rząd włoski oświadczyć miał w Petersburgu, iż nie czuje się na siłach do ochronienia cara przed temi demonstracyami, i że wskutek tego car zaniechał podróży do Włoch. Prasa włoska z wyjątkiem naturalnie socyalistycznej i republikańskiej wyraża jeszcze nadzieję, że wizyta carska jednak przyjdzie do skutku. Lecz nadzieja to bardzo wątpliwa. Car jest człowiekiem bardzo podobno nerwowym i lękliwym, nie zechce się więc zapewne narażać na przykre manifestacye przeciwne.

W *Anglii Joe Chamberlain* rozpoczął już na dobre agitacyą za swym planem polityczno-celnym. Mówił już w Glasgowie, mówił w Greenock a wszędzie zyskiwał poklask słuchaczy. Zna on dobrze swych ziomków i wie, w jaką uderzyć strunę. Plan jego polega na tem, że Anglia zamknie swe granice dla zboża i wyrobów przemysłowych zagranicy, a równocześnie otworzy wolny dowóz dla zboża z swych kolonii. W zamian za to kolonie jej mają obniżyć lub znieść cła na *angielskie* wyroby przemysłowe. Chamberlain oblicza, że skarb angielski zyska na tem 200 milionów marek, przemysł angielski zaś około 500 milionów rocznie. Cyfry to bardzo ponętne i kto wie, czy nie przekonają Anglików o pożyteczności Chamberlaina.

Na *Węgrzech* położenie niezmienione, *w Austryi* jeszcze się zaostrzyło. Monarchia *austro-węgierska* zaczyna się zamieniać na prawdziwą *obiecaną ziemię obstrukcyi parlamentarnej.* Już nie tylko oba parlamenty państwowe, ale i poszczególne *Sejmy* krajowe uległy tej chorobie parlamentarnej. W sejmie *czeskim* obstruują Niemcy przeciwko większości *czeskiej,* w sejmie morawskim Czesi przeciwko większości *niemieckiej;* w sejmie *kraińskim* rozpoczęli świeżo obstrukcyę katolicy *Słowieńcy* przeciwko większości niemiecko-liberalno-słowiańskiej. Nadto grozi obstrukcya *włoska* w sejmie *tyrolskim, ruska w sejmie galicyjskim, i wszechniemiecka w sejmie dolno-austryackim.* Zasada większości parlamentarnej utonęła w Austryi w ogólnym chaosie sprzecznych interesów narodowościowych i dziś śmiało można obiecać konia z rządem temu, kto odgadnie, jaki będzie chaosu tego koniec.

W *Niemczech* zanosi się na zaciętą kampanię konserwatystów przeciwko kanclerzowi hr. Bülowowi. Po zatem wszystko zajęte wyborami do sejmów. W *Saksonii* socyaliści zdobyli znów kilka mandatów sejmowych; *Bawarya* zreformowała w bardzo liberalnym duchu prawo wyborcze do swego sejmu; w *Prusach* toczy się już zacięta agitacya przedwyborcza. Tu *socyaliści* nie mają wielkich widoków wobec pruskiego prawa wyborczego, które nawet książę Bismarck czasu swego nazwał w przystępie szczerości *„najnędzniejszem ze wszystkich.“*

Być może, że *Kołu polskiemu* przybędzie w sukkurs trzech posłów ze *Śląska* — na podstawie zgody, zawartej tam między obu obozami polskiemi. Bylebyśmy tylko w Księstwie nie stracili mandatów.

Nowy Papież *Pius X.,* spotka się zaraz na wstępie swych rządów z *kwestyą polską. Sprawa* nominacyi biskupów dla trzech osieroconych dyecezyi w zaborze rosyjskim gwałtem domaga się załatwienia. I z drugiej strony — z za *Oceanu* z *Ameryki* północnej proszą Polacy o własnych *polskich* Biskupów. Tę drugą sprawę rozstrzygnęła już kongregacya „de propaganda fide“ — ale niestety w duchu dla nas *niepomyślnym.* Oświadczyła polskiej delegacyi amerykańskiej, że osobnych polskich Biskupów tam ustanowić nie może, jedynie polskich *generalnych wikaryuszy* w istniejących już dyecezyach. Ostatnie słowo w tej sprawie wypowie teraz Pius X. Cała Polska oczekuje decyzyi jego z wielkiem zaniepokojeniem. Bo jeżli wypadnie niepomyślnie — dużo goryczy wywoła w społeczeństwie polskiem. A gorycz, *to zły doradzca.*

M. O.

Przegląd prasy.

Polski komitet wyborczy dla Śląska utworzył się i wydał pierwszą swą odezwę, którą ogłaszamy. Jak widzimy z niej zgoda przyszła do skutku na zasadzie równouprawnienia i tak z obu stronnictw wybrano po 10 członków do komitetu. Z tego, że przewodniczącym został zwolennik „Katolika,“ możnaby w pierwszej chwili wnioskować, iż „Kat.“ ma przewagę lecz fakt, iż komitet postawił na kandydata poselskiego do sejmu na okręg pszczyńsko-rybnicki zwolennika narodowego stronnictwa przeczy temu. Widocznie więc obie strony są ożywione dobrą wolą i uwzględniają wszelkie okoliczności. Raz jeszcze przeto możemy serdecznie przyklasnąć zgodzie i nowemu komitetowi wyborczemu.

„Odezwa podkreśla—pisze *„Górnoślązak“* — że Ślązk poczuwa się

do wspólności narodowej z resztą narodu polskiego w Prusach i że jako taki wyśle dwóch delegatów do „Polskiego Komitetu Centralnego" na rzeszę niemiecką.

„W tem tkwi zasadnicza zmiana w dotychczasowych naszych stosunkach politycznych. Dotąd lud polski na Ślązku pragnął, należąc politycznie do potężnego bądź co bądź stronnictwa centrum, wpływy tego stronnictwa i jego znaczenie wyzyskać dla siebie, podczas gdy centrowcy znów wyzyskiwali siły ludu polskiego dla swoich celów niemieckich, nic wspólnego z dobrem ludu polskiego nie mających. Ten sojusz z centrum, na którym bez wątpienia jako strona słabsza tracił lud polski, ten sojusz trwający przez przeszło ćwierć wieku, ostatecznie zerwany został. Odtąd politycznie należeć będziemy do reszty braci naszych w Prusiech, do Polaków w Poznańskiem, w Prusach i na wychodźtwie, tworząc z nimi razem jeden zgodny, karny obóz z władzą na czele, „Centralnym Komitetem."

„Co do tego zasadniczego punktu zgoda nastąpiła od razu, bez dyskusyi, bez długich rozpraw."

Z wyjątkiem polskich socyalistów i ich „Gaz. Robotniczej," która stojąc na gruncie kastowym a nie narodowym nie rozumie doniosłości zgody na Ślązku, wszystkie polskie stronnictwa oceniają fakt ten jako bardzo doniosły. Nawet petersburski *„Kraj"* przemawia w tym duchu:

„Kto śledzi nieustannie wypadki na Górnym Ślązku, kto *zgodnie z nami wyznaje zasadę, iż Ślązkowi dane będzie kiedyś zaważyć niepospolicie na losach Słowianszczyzny zachodniej*, ten oceni ogromną doniosłość tego faktu. Żywioł polski wstąpił całkowicie na własne tory. Ogłosił swą pełnoletność publicznie. Przestaje osłaniać się pożyczanym puklerzem centrowców, ale też równocześnie zrzeka się prawa do wdzięczności i względów tego potężnego stronnictwa.

„Krok pana Napieralskiego będzie miał następstwa *wielkie*. Skutki jego dadzą się uczuwać jeszcze wówczas, gdy ludzie zapomną już od dawna o tegorocznej polemice „Katolika" z „Górnoślązakiem", o rozruchach w Hucie Laury i o ślubie p. Korfantego. Pan Napieralski zaznaczył swym postępkiem, że uznaje na Ślązku *epokę nową*, epokę, w której przy podziale na stronnictwa polityczne, nie ma miejsca na katolików pruskich, mówiących po polsku, *gdyż istnieje już tylko podział na Polaków i Niemców.*

Wobec tego dziwnie odbija *„Dzien.,"* który przemawia tak jakby uniewinniał się, iż „nie popychał do zerwania z centrum" i wyznaje, że jednak „faktu dokonanego nie bierze *zbyt tragicznie*" (sic!) bo „faktycznych korzyści odpychać nie może." Mimo faktycznych korzyści zgoda, która innych przejmuje radością, w oczach „Dziennika" jest niemal tragiczną! Najdziwniejszem zaś jest, że „Dzien." w końcu przytacza zdanie „Berl. Tag.," które zawiera dosadnie potępienie polityki „Dziennika" w sprawie ślązkiej a mianowicie:

„Był czas, że Ślązacy chcieli głosować nawet na polskich posłów z Księstwa. Politycy polscy wtedy nie okazali należnej odwagi i odrzucili te kandydatury. Gdyby nie to, to już dawno byłyby się wszystkie odnoszące czynniki przyzwyczaiły do istnienia narodowych posłów ze Ślązka i obyłoby się bez tych wszystkich walk i insynuacyi. Nie zrozumiano w danej chwili idei narodowej w jednej formie, więc ją teraz uznać trzeba w innej."

Wobec odsłonięcia *pomnika Bismarka* w Poznaniu hakatystyczny „Pos. Tagebl." zadął w znaną swoją trąbkę, natomiast „Pos. Ztg." i „Pos. Neueste Nachrichten" zachowały się chłodno. Ten ostatni organ wprost kwestyonuje czy godziło się stawiać pomnik ojca hakatystów w Poznaniu.

W przemówieniach przy tej okazyi unikano słowa „Polak". Najdobitniej wysunął żądło antypolskie naczelny prezes p. Waldow a ks. Herbert Bismarck, który oczekuje widocznie, aby pamięć jego ojca była nam drogą, powiedział między innemi co następuje:

„Czemuż Polacy bezczeszczą pamięć mego ojca? Nikt przecież nie może życzyć sobie powrotu zaprzepaszczonych stosunków byłego Królestwa Polskiego. A ojciec mówcy miał tylko to życzenie, żeby Polaków wychować na wiernych poddanych J. K. Mości, króla pruskiego. W parlamentach naszych niema frakcyi brandenburgczyków, pomorczyków ani hessów. Dla czegoż więc istnieje polska frakcya? Póki Polacy tej nie rozwiążą, nie będzie można uwierzyć, że porzucili ideę oderwania części państwa od Prus. A niepodobna, żeby uwierzyli, iż dwa zaprzyjaźnione (?) państwa, Niemcy i Rosya zgodzą się na to, żeby między niemi powstało nowe państwo. Polscy mieszkańcy tego kraju, powinni korzystać z dobrodziejstw (!!) niemieckiego państwa *i podać rękę do pokojowego pożycia* jako uczestnicy państwa w granicach niemieckich."

Ks. Bismarck zapomniał, że ugodowcy wyciągali pokornie rękę do zgody — z wiadomym skutkiem. Przemówienie księcia grzeszy taką naiwnością, że nie ma potrzeby zajmować się niem dłużej.

Jak to Niemcy wychowywać pragną Polaków na wiernych poddanych okazuje się z *zatrważającej wiadomości*, która — rzecz dziwna przedostała się dopiero teraz do prasy. Otóż co czytamy w *„Wielkopolaninie"*:

„Rodzice naszych kleryków przerażeni są wiadomością, odebraną po wakacyach od swych synów. Otóż *zarząd seminaryjski rozporządził, że na kursa nowej akademii poznańskiej uczęszczać mają także klerycy i to na wykłady historyi i literatury niemieckiej.* Boleść ogarnia ich na samą myśl, że seminarzyści mają uczęszczać do instytucyi, której zadaniem jest germnaizacya podług ogłoszonego statutu."

„Zobaczymy, jaki skutek mieć będzie innowacya. Dzisiajsi klerycy, którzy w studyach już się posunęli, zmuszeni będą ugiąć się pod twardy rozkaz, ale seminaryjskich progów na zbliżającą się Wielkanoc nie wielu przestąpi kandydatów, wiedząc, że za progami gmachu seminaryjskiego czeka ich ofiara uczuć i obowiązek pojenia się kulturą, której celem jest zabicie ducha narodu. Na taką ofiarę najgoretsze powołanie kapłańskie się nie zdobędzie, a koszta wprowadzonej innowacyi zapłaci Kościół resp. dyecezya, która po kulturkampfie jeszcze się z ran nie wyleczyła i na brak kleru choruje. *Przyrost zysków zapisze protestantyzm i socyalna demokracya w swym bilansie.*"

W następnym numerze *„Wielkopolanin"* zapewnia, że wiadomość powyższą „zupełnie się nie potwierdza jak donoszą ze strony dobrze poinformowanej" i śpiewa na inną nutę, przedkładając, że uczęszczanie na wykłady niemieckie nikogo nie zniemczy i t. d.

Według naszych informacyi wiadomość ta *potwierdza się zupełnie* i rodzice kleryków muszą być przygotowani na to, że umysł ich synów będą Niemcy *zatruwali systematycznie* historyą Prus w duchu hakatystycznym..... Do kwalifikacyi na księdza polsko katolickiego należy odtąd dokładna znajomość historyi Niemiec!! W swym germanizacyjnym systemie zatem rząd kładzie rękę z kolei na kleryków, w nadziei, że wychowa sobie prusofilskie duchowieństwo w Poznańskiem. Tak zaczynają się rządy pana Waldowa!....

W artykule „Radykaliści" charakteryzuje *„Gon. Wielkop."* ruch radykalny w przeciwstawieniu do ugodowego i między innemi tak pisze:

„Polityka czysto narodowa zawsze była jedynie prawdziwą, nie sprowadzała nas nigdy na manowce i nie ma pod tym względem żadnej wątpliwości, że gdyby konsekwentnie przed kilkunastu laty dobrze ją zrozumiano i przeprowadzono, *ostatnie wypadki zastałyby nas już więcej przygotowanymi*, więcej zahartowanymi na burze i gromy, z różnych stron na nas napierające.

„Czynniki ugodowe, czytamy poniżej — nie mające bliższej styczności z ludem naszym, lud ten pojmują według tradycyjnej szablony i obronę naszej narodowości ograniczają li tylko na pracy około zorganizowania naszych warstw inteligentnych, *lud zaś uważają jako*

czynnik małoznaczący, który trzymany w karbach, sam podąży za naturalnymi prowodyrami, inteligencyą.

„Fałszywą tę politykę dobrze zrozumiał rząd niemiecki i korzystając z nieuświadomienia i zaniedbania warstw ludowych, całą siłą rzucił się na germanizacyą warstw tych, przez kolonizacyą robiąc szczerby w okolicach polskich, wykupując panów polskich, a przez szkołę, urzęda i wojsko okazując ludowi korzyści kultury pruskiej.

„Akcya ta musiałaby w końcu podciąć bytowi narodowemu wszelkie soki żywotne, na szczęście jednak za późno ją wszczęto.

„Sfery ugodowe w sam czas straciły wpływ na lud, a miejsce ich zajmuje w części inteligentne mieszczaństwo, które wyćwiczone w szkołach pruskich, dobrze zrozumiało swe zadanie i zwróciło się na punkta zagrożone, w części prowodyrowie z ludu wychodzący, którzy poczynają się z dniem każdym politycznie wyrabiać.

„Ten kierunek odporny, to wydzieranie wpływem niemczyzny ludu nieuświadomionego — to polityka *„radykalna,“* wedle rządu i pism niemieckich, to rzekome „krzykactwo,“ to „matkobójstwo“ czy „samobójstwo“ wedle oznaczenia naszych ugodowców.“

Ślub posła Korfantego w Krakowie odbył się jak przewidywaliśmy bez zezwolenia ks. kard. Puzyny. Z Krakowa donoszą do gazet warszawskich, że nazajutrz zawiadomił ks. kardynała o ślubie p. Korfantego kanclerz konsystorza ks. Bandurski.

„Na wieść tę ks. Puzyna drgnął, ale uspokoiwszy się zapytał, czy wszystko odbyło się formalnie i czy wyszły zapowiedzi. Gdy ks. Bandurski potwierdził to, ks. kardynał Puzyna powiedział: „Może to i lepiej, że się wszystko skończyło, będę miał o jednego wroga mniej.“

„Do *„Słowa Polskiego“* piszą, iż wiadomość, jakoby kardynał Puzyna miał w sprawie ślubu p. Korfantego otrzymać z Rzymu jakąkolwiek instrukcyą, jest fałszywą i na niczem nie opartą.“

Z postępowania kanclerza konsystorza okazuje się, że duchowieństwo krakowskie *pochwala krok ks. Mikulskiego*, który dając ślub posłowi Korfantemu sprzeciwił się woli ks. kardynała. Wybryki kardynała wywołują w tamtejszem duchowieństwie głębokie niezadowolenie, a w Krakowie ks. Puzyna jest jaknajniepopularniejszą osobistością.

„Górnoślązak“ do opisu ślubu dodaje:

„Tak skończyła się sprawa ta, która zgorszyła świat katolicki, klęską dla duchowieństwa niemieckiego, a zwycięztwem dla p. Korfantego. Karcić duchownych, którzy germanizują, którzy zamiast słowa Bożego głoszą z ambon politykę nam wrogą, ani grzechem, ani zbrodnią nie jest.

„Obowiązkiem każdego katolika jest ganić postępowanie tych księży, którzy zapominają o swych obowiązkach i nadużywają swej władzy duchownej do spraw politycznych. „Górnoślązak“ nigdy nie zaczepiał ani Kościoła, ani nauki jego, ani stanu duchownego jako takiego, ale karcił i karcić będzie wybryki poszczególnych księży germanizatorów, bo tak czynić nakazuje mu jego obowiązek obywatelski i polski. Lud polski walcząc o najświętsze skarby swoje przetrwa tę burzę, która szumi obecnie nad głową jego, i wyjdzie z niej zwycięzko, bo on ma siłę i moc po temu. Ci z księży niemieckich, którzy przeciwko nam burzę tę rozdmuchują, największą przynoszą szkodę dla Kościoła i sprawy katolickiej, bo podkopują powagę i zaufanie do duchowieństwa katolickiego. To sobie powiedzieć powinni ci kapłani, że nigdy z tej walki nie wyjdą zwycięzko, że ostatecznie poniosą zawsze klęskę, ale kto naprawi zło wyrządzone Kościołowi i ludowi polskiemu.“

Jak p. Korfanty po ślub, wybrał się do Krakowa, inny Górnoślązak po — *rozgrzeszenie*, jak donosi *„Kuryer Warsz.“* pisząc:

„Przybył do Krakowa włościanin polski z Bogucic na Górnym Śląsku, któremu tamtejsi księża niemieccy dwukrotnie odmówili rozgrzeszenia przy spowiedzi za to, że głosował na Korfantego przy wyborach. Pragnąc ulżyć sumieniu swojemu, wybrał się do Krakowa. Zdarzenie to ilustruje wymownie stosunki, panujące na Górnym Śląsku.“

Pomimo, że najwyższy sąd administracyjny w Berlinie nieraz już uznał *rozwiązywanie wieców* z powodu, że rozprawy toczyły się w języku polskim, za niedozwolone, władze policyjne we *Westfalii* drwią sobie widocznie z tego. Chociaż bowiem sąd da im nieracyę, celu swego dopinają, hamując życie społeczne naszych wychodźców. Otóż w Krayn w Westfalii rozwiązano zebranie zjednoczenia zawodowego zwołane celem omówienia spraw robotniczych li tylko dlatego, że miało odbyć się w języku polskim. P. red. Wojciechowski zaprotestował przeciw temu.

„Urzędnik na to wszystko ruszył ramionami i powiedział, że dla niego są przepisy policyjne miarodawczemi. Na zdziwienie p. Wojciechowskiego, że przepisy policyjne, które przecież muszą być podporządkowane prawu, rozchodzą się z ustawą o stowarzyszeniach, odparł policyant, że zameldowano co prawda wiec, ale nie powiedziano, że rozprawy toczyć się będą nie po niemiecku.“

To się nazywa wolnością zebrań w państwie pruskiem!

Redakcya.

Pan Kierski skarży!

Dnia 14. bm. toczył się przed sądem ławniczym proces przeciwko odpowiedzialnym redaktorom: „Gońca Wielkopolskiego“ p. Mieczysławowi Noskowiczowi, „Dziennika“ p. Kuczewskiemu, „Orędownika“ p. Strzyżewskiemu, „Dziennika Berlińskiego“ p. Goździewiczowi, „Pracy“ p. Lissowskiemu, jakoteż przeciwko panu Biedermannowi, wydawcy „Pracy“ o rzekomą obrazę pana Kierskiego w „Grand Restaurant,“ gdzie panu Kierskiemu zrobił zarzut, że pośredniczył w sprzedaży Pakosławia.

W trakcie rozpraw wywiązała się ostra dysputa między p. Ulmanem, obrońcą p. Kierskiego, a p. mec. Wolińskim, z powodu, że p. Ulmann zarzucił prasie polskiej, że w razie zawezwania świadków odwodowych, którzy mają świadczyć o pogłoskach, jakie krążyły w okolicy Wąbrzeźna, prasa polska użyje zeznania tych świadków przeciwko p. Kierskiemu, — o tyle powinien już sąd znać prasę polską.

Pan mecenas Woliński w dobitnych słowach odparł ten zarzut, rzucony prasie polskiej i nazwał go nieuzasadnionym.

Ostatecznie postanowił sąd odroczyć termin i zawezwać na świadków między innymi agenta Pulvermachera, p. Krayna z Pobiedzisk, p. v. Wehnera z Berlina, p. Stanisława Szółdrskiego, p. Moszczeńskiego z Wiatrowa i adwokata Veilchenfelda z Torunia.

Oskarżonych bronią pp. Woliński, Chrzanowski, Drwęski i Celichowski.

Wiec polski w Dortmundzie.

Dla Dortmundu i okolicy odbędzie się dnia 18-go października o godzinie 5-tej po południu pa nabożeństwie w sali p. Trotta Westerholzstr, nr. 60. Na wiecu omawiane będą sprawy bardzo ożywione o brak opieki duchownej, przeto o liczny udział rodaków uprasza

Komitet.

J. Tomczak, Dawczyński, W. Pindraszak, J. Loch, Nawotny.

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“



Bitwa pod Warną.
Obraz Jana Matejki.

Dział illustrowany.

BITWA POD WARNĄ.

10-go listopada 1444 roku.

Po śmierci Jagiełły wstąpił na tron syn jego Władysław, pod opieką matki Zofii i dygnitarzy. Zbigniew Oleśnicki, mianowany rejentem przez Jagiełłę, usunął się pozornie, gdy przeciwna mu partya chciała postawić na czele opieki Ziemowita ks. mazowieckiego. Niemniej jednak, kanclerz, wraz z hierarchią duchowną, silny wpływ wywierali na losy kraju.

Czesi, pragnąc zawsze związku z Polską i nie chcąc uznać Albrechta, syna i następcy znienawidzonego cesarza, Zygmunta luksemburskiego, ofiarowali Kazimierzowi Jagiellończykowi koronę. Oleśnicki stawiał przeszkody jej przyjęciu i Kazimierz, nieoparty przez rząd, zapóźno udał się do Czech, gdzie uprzedziwszy go, Albrecht tron objął. Oburzenie z tego powodu było wielkie w Polsce przeciw Oleśnickiemu i jego stronnictwu. Zawiązały się dwie konfederacye, jedna Oleśnickiego, druga stronnictwa czeskiego, pod wodzą dzielnego Spytka z Melsztyna, który w nieszczęśliwej bitwie pod Grotnikami poległ. Stronnictwo czeskie wkrótce upadło.

W roku 1434 odbył się sobór powszechny w Bazylei, na który przedstawiciele duchowieństwa polskiego udali się pod przewodnictwem Stanisława Ciołka (Vitelius), biskupa poznańskiego. Ważne sprawy krajowe po śmierci Jagiełły zatrzymały Oleśnickiego. Mimo to przyjmował on udział w obradach i nieraz nawet niemi kierował za pośrednictwem biskupów polskich, broniąc wyższości soboru nad papieżem.

W czternastym wieku niebezpieczeństwo zagrażało Kościołowi greckiemu od Turków, którzy opanowali półwysep bałkański. Po długich rokowaniach i układach z Rzymem przyszło do unii, którą jeszcze Witołd na soborze konstancyjskim popierał. Kościół wschodni, zachowując swój obrządek, uznał we Florencyi 1439 zwierzchnictwo papieża. W Carogrodzie nie utrzymała się ta unia, lecz w Polsce, za staraniem Oleśnickiego i Izydora, metropolity kijowskiego, weszła w życie, a król Władysław nadał zupełne uprawnienie wyznawcom kościoła wschodniego, zbliżając tym sposobem do Polski licznych panów i kniaziów ruskich, jak Ostrogskich, Sanguszków i innych.

W roku 1440, po śmierci cesarza Albrechta, Węgrzy wezwali na tron Władysława. Panowie polscy niezbyt chętnie to wezwanie przyjęli, przewidując, iż obrona Węgier od Turków dużo Polskę kosztować będzie. Inaczej zapatrywał się na to biskup Oleśnicki, który pragnął cios Muzułmanom zadać, zanim się ich siła rozwinie i dla Polski groźną stanie.



Władysław Warneńczyk,
syn Władysława Jagiełły i Zofii kś. ruskiej, król polski i węgierski.
1434—1444.
Urodz. 1424. Rządy Zbigniewa Oleśnickiego. Powołanie Władysława na tron węgierski (koronacya 17 lipca 1440). Wojna z Turcyą. Bitwa pod Warną i śmierć Władysława (10 listopada 1444).

Młodego, pełnego zapału, chrześcijańskiego króla, pociągała chęć sławy w walkach z półksiężycem; przyjął koronę węgierską i, zostawiając rządy w Polsce Zbigniewowi Oleśnickiemu, a w Litwie bratu Kazimierzowi, podążył do Węgier na czele rycerstwa polskiego.

Pomimo oporu Elżbiety, wdowy po Albrechcie, oraz cesarza Fryderyka, opiekuna syna jej, Władysława Pogrobowca, król polski, torując sobie drogę orężem, wkroczył do Budy i tam się koronował koroną S-go Szczepana.

Turcy, którzy już ujarzmili Słowian południowych, po nieszczęśliwej bitwie na Kossowem polu, i zagrażali Konstantynopolowi, niepokoili też granice węgierskie. Bohaterskim duchem ożywiony Władysław, wkrótce po objęciu rządów poprowadził polskie i węgierskie hufce przeciw niewiernym, i po świetnem zwycięztwie pokój z nimi na lat 10 zawarł. Tryumf ten przejął młodego wodza żądzą dalszych zwycięztw to też, ulegając namowom legata papiezkiego, Juliusza Cezariniego, zerwał pokój i powiódł swoje zwycięzkie zastępy aż pod Warnę. Jednakże wyprawa ta nie powiodła się: 10 listopada 1444 r. przeważne liczbą wojsko Amurata otoczyło ze wszystkich stron Władysława, zadając wojsku polskiemu i węgierskiemu straszliwą klęskę. Młody król, nie mogąc obronić się janczarom tureckim, poległ śmiercią walecznych.*) Dla Polski była to wielka, niepowetowana strata. Długo też nie chciano wierzyć złowrogim wieściom; ponieważ nie znaleziono ciała bohatera, naród łudził się nadzieją jego powrotu. Po trzech latach dopiero przystąpiono do obioru nowego króla, tembardziej, że Kazimierz nie śpieszył się z przyjęciem tronu.

Ze śmiercią Władysława rozerwał się związek z Węgrami. Bitwa pod Warną zadała też cios planom politycznym Oleśnickiego, który pragnął złamania potęgi tureckiej przez Jagiellonów.

Władysław III. od miejsca klęski, nosi w historyi nazwę Warneńczyka.

Za panowania Władysława Zbigniew Oleśnicki kupił księstwo Siewierskie, które stanowiło odtąd własność biskupów krakowskich.

Hospodarowie: wołoski i multański, hołd królowi złożyli.

W. Tyszka.

*) Chwilę tę zobrazował świetnie nieśmiertelny nasz mistrz, Jan Matejko. Reprodukcyą jego „Bitwy pod Warną“ dajemy Czytelnikom jako illustracyą albumową. — Przyp. Red.

Biblioteka Załuskich w Warszawie.

Do najbogatszych bibliotek polskich należy *Biblioteka Załuskich w Warszawie.* Fundatorem jej był Józef Andrzej Załuski, referendarz koronny, biskup kijowski. Z bezprzykładną gorliwością i nieslychanem poświęceniem zebrał ogromną bibliotekę, pierwszy raz do publicznego użytku otwartą 3-go sierpnia 1747 roku, pomieszczoną następnie w pałacu Daniłowiczów (późniejszy zakład Felicyanek), przy ulicy Daniłowiczowskiej.

Fundator spłaciwszy konkurentów i zostawszy jedynym właścicielem szacownej książnicy, postanowił ją darować Rzeczypospolitej, dozór powierzyć Jezuitom a sobie zastrzedz tylko wolny z niej użytek do śmierci. Bo przecież, jak sam pisze: „Cała ta biblioteka mojem staraniem zebrana, gdyż w r. 1760 ksiąg po bracie pozostałych i biblioteki króla Jana III. nie było na półtrzecia tysiąca, i to dwie części zdefektowane przez liczne królewicza Jakóba (Sobieskiego) pożyczki na wieczne oddanie, jam zaś sam sprowadził do niej 200,000 woluminów.''



Biblioteka Załuskich w Warszawie.
Rycina powyższa przedstawia budynek, w którym Biblioteka otwartą została i oddaną do użytku publicznego w 1747 r.

Projekt darowizny kraj przyjął obojętnie, z powodu powierzenia dozoru nad biblioteką Jezuitom, którzy wówczas już nie cieszyli się sympatyą, zatem ks. referendarz musiał ofiarę wstrzymać. W r. 1764 domagał się od sejmu, aby Rzeczpospolita zaopiekowała się biblioteką, w zamian za darowiznę, o to jedynie prosząc, by probostwo warszawskie wieczyście do familii Załuskich należało. Sejm odmówił, lecz Załuski nie dał za wygrane, ofiary nie cofnął. W r. 1774 zmarł ten mąż zasłużony; wtedy dopiero biblioteką i ociemniałym już Janockim, prefektem biblioteki, zajął się rząd Rzeczypospolitej, powierzając ją opiece świeżo utworzonej Komisyi Edukacyjnej, t. j. ministeryum oświecenia publicznego. Komisya szczerze się losem książnicy zajęła. Wydała rozporządzenie, by nie ważono się żadnego dzieła nowego sprzedawać, dopóki biblioteka nie otrzyma jednego egzemplarza. Chciano też dla niej pozyskać gmach nowy, dogodniejszy, lecz nie można było znaleźć funduszów, a na instytucyi ciężyło 400 tysięcy złp. długu. Ociemniałego Janockiego zostawiono na stanowisku prefekta biblioteki, przydawszy mu do pomocy ks. Koźmińskiego i Bartscha, potem Dyonizego Kniaźnina, wreszcie ks. Onufrego Kopczyńskiego, znakomitego gramatyka. W tym czasie gmach biblioteki miał wygląd następujący:

Od dziedzinca gmach główny miał dwa piętra, półpiętrze z oknami owalnemi pod dachem, nad tem dwie facyaty owalne. Piętra liczyły po 6 okien z frontu, porozdzielanych pasami pionowemi. Nad drzwiami głównemi, z obu stron stopni do niej prowadzących, stały posągi mitologiczne; nad grzemsem tarcza, z mitrami biskupią i książęcą, na tarczy zaś herb Załuskich, Junosza. Balustradę nad gzemsami zdobiło 8 posągów (z rysunku ówczesnego trudno się domyśleć, co wyobrażają); nad dachem latarnia z kopułą, zkąd światło szło do środka gmachu.

W r. 1795, za bibliotekarstwa Kopczyńskiego, bibliotekę przewieziono do Petersburga i włączono do tamtejszej biblioteki cesarskiej, posiadającej wówczas 20,000 tomów. Już przy pakowaniu wiele ksiąg zostało zdefektowanych, a w drodze wiele pak się porozlatywało, wiozący zaś szacowne zbiory i księgi, z nich wypadłe, zostawili na drodze. Można sobie wyobrazić, ile przez to ucierpiała całość zbiorów, jeżeli powiemy, że książki te *korcami* potem sprzedawano w Grodnie. Z relacyi Olenina, ogłoszonej w roku 1809, biblioteka po przewiezieniu nad Newę liczyła 262,640 tomów, 24,573 rycin i z górą 10,000 rękopisów. Spis to niedokładny, gdyż w czasopiśmie „Ruskij Archiw'' z 1885 r. znajdujemy pamiętniki Antonowskiego, który uczestniczył przy uporządkowaniu przewiezionych zbiorów i powiada, że „znalazł w niej daleko więcej książek, niż wykazał historyograf Bissing i inni.'' Wylicza następnie szczegółowo, że w językach: polskim, angielskim, holenderskim, niemieckim, francuzkim, włoskim, łacińskim, hiszpańskim, greckim i kilkunastu innych, łącznie z rękopisami i broszurami, znajdowało się pozycyi 395,045; sztychów rysunków, bądź oprawionych w księgi, oraz w 75 tekach, było sztuk 40,618; zielników z rysunkami i zaszuszonemi roślinami 16.

Po wywiezieniu biblioteki, gmach przy ulicy Daniłowiczowskiej opustoszał. Po wkroczeniu Francuzów do Warszawy obrócono go na skład mąki. W r. 1807 zniszczył go pożar i leżał w ruinach do r. 1817. W tym czasie posesye nabył drogą przetargu publicznego Stanisław Kłossowski, w trzy lata zaś potem szambelan Stanisław Nowakowski. Ten, z pomocą budowniczego Gallego, gmach z ruiny dźwignął, piętra pobudował i dachem blaszanym je pokrył. Wówczas, przy kopaniu fundamentów, znaleziono popiersia królów polskich i kilkanaście olbrzymich posągów mitologicznych, które prawdopodobnie zdobiły gzemsy i drzwi główne. Nie wiadomo, co się stało z ostatniemi; popiersia królów odnowiono, uzupełniono brakującemi i poumieszczano je w niszach, z obu stron dziedzińca. Z kolei gmach przeszedł w ręce hr. Potockich; od r. 1855 do 1864 mieścił się w nim klasztor pp. Felicyanek.

Przed zburzeniem ostatniem gmachu, t. j. po nabyciu go przez inżyniera Stępińskiego, popiersia królów znajdowały się, jak nadmieniliśmy, w dziedzińcu, w niszach dwóch wysokich ścian murowanych; każde nosiło stósowny podpis i daty, określające czas panowania monarchy. Poczet królewski rozpoczynał Mieczysław I., kończył — Fryderyk August, książę warszawski. Pośrodku dziedzińca, w klombie zadrzewionym, otoczonym sztachetami, wznosiła się figura Najświętszej Panny, z napisem na froncie: „Pamięci Ksawerego i Julii Pusłowskich.'' Obecnie skasowano ściany, gdzie się mieściły popiersia i klomb,

wśród którego królowała postać świętej Bożej Rodzicielki. Gdzie był front słynnej książnicy widzimy wylot połączenia ulicy Daniłowiczowskiej z tyłami zabudowań Eldorada, położonego przy ulicy Długiej. Dom, który ongi znajdował się w dziedzińcu, stoi dziś frontem do ulicy Daniłowiczowskiej, a dawne podwórze przeistoczone zostało na plac. We froncie tego właśnie domu umieszczono w jednym ciągu, szeregami, między parkanem a pierwszem piętrem, biusty monarchów, w liczbie 36; na ostatni, wyobrażający Fryderyka Augusta, miejsca nie stało. Możnaby go umieścić niżej, pomiędzy oknami parteru. Posąg Bogarodzicy umieszczono w niszy, pod balkonem, nad biustami, lecz bez dawnych napisów, które należy koniecznie, przez szacunek dla tradycyi, przywrócić.

Kmicic.

Pacierz polski.

Boże! ledwo oddech jeden
W naszem życiu jeszcze!....
Tak już każdy z nas jest bieden,
Tak nas cisną Kleszcze!!!

Ojcze nasz, któryś jest w niebie!....
Święć się Twoje Imie,
Niech dziś w tak ciężkiej potrzebie,
Nasze serca z-imie. *)

Niechaj przyjdzie Twe Królestwo,
Będzie Wola Twoja,
Niczem jest ziemskie sobiestwo, **)
Niczem jest dziś Troja!

Daj nam dzisiaj powszedniego,
A Polskiego chleba....
Daj przymierza, daj świętego,
Z wysokiego nieba!

Chlebem — na cześć Polskę stworzym,
Od proga do proga,
Modlitwą też upokorzym
Odwiecznego wroga!

Odpuść nam już nasze winy,
Jak dziś odpuszczamy
Winowajcom zbrodni czyny,
Gdy się bracią z nami!...

A nie wiodąc w pokuszenie,
Zbaw nas ode złego,
Gdy nam już swe ślesz skinienie
Z nieba wysokiego.

Gdy z hakatą w walkę idziem,
Którąś nam przeznaczył,
Panie! z niej zwycięzko wyjdziem....
Obyś pomódz raczył!!!

P. L.

*) z-imie od imać wyrażenie ludowe znaczy: brać i łączyć zarazem z-imać, czyli połączyć; niech święte imię połączy nas wszystkich.

**) sobiestwo — egoizm.

Nasz wiek nerwowy.

(Pogadanka naukowa.)

Czemu ci, którzy znajdują codziennie nowe środki do przystosowania natury, nie są zdolni zapanować sami nad sobą? Dlaczego musi się koniecznie rozwijać równocześnie z oświatą newroza, pogarda człowieka, nieufność i obłuda?

Dlaczego spokojna praca, w miarę, jak objawia więcej talentu i większą rozmaitość, musi być opodatkowana.

Jedna klasa społeczna uzbraja się przeciwko drugiej, jedne grupy interesów uzbrajają się przeciwko drugim.

Rady, jakie dają ci, których interesuje kwestya, odnoszą się najczęściej jedynie do interesów tej sekty lub grupy, o której mówią — nie troszcząc się o inne. Wszyscy wychodzą z tego punktu, że ponieważ jest jedna choroba, więc wystarczy na nią jedno lekarstwo.

Jednak ludzie są ze swej istoty różni i w tem leży ich choroba. A więc, nie wyliczając wielu faktów, są ludzie, którzy odziedziczyli wielką dozę mistycyzmu i ci może skłonni są do posilkowania się jedynym środkiem, jaki proponuje Kościół: „Pójdźcie do mnie.‟ Lecz z drugiej strony, są tacy, u których dziedziczny mistycyzm osłabł, lub wygasł zupełnie i na tych to Kościół nie będzie miał już żadnego wpływu. Liczba tych ostatnich jest nawet przeważającą.

To samo ma miejsce w chorobach. Są takie, które Kościół jest w stanie uleczyć — jest to fakt nie ulegający wątpliwości. Przeciwnie, bywają inne, jak naprzykład: przesąd, zabobon, histerya, sceptycyzm, fanatyzm, których nie zdoła wykorzenić, chociaż pozory zdają się twierdzić zupełnie przeciwnie. I te właśnie choroby grają przeważną rolę w obecnych warunkach.

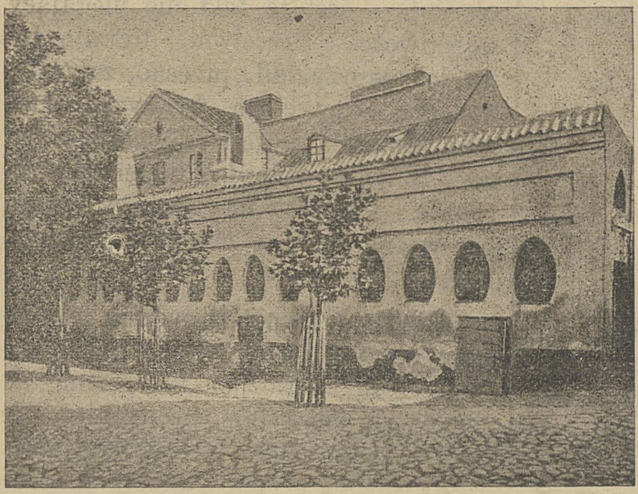
Kiedyż ludzkość zrozumie, że choroby naszych stosunków i naszej moralności są wytworami fizycznemi tak samo, jak febra lub bronchitis? Że wskutek tego należy wyszukiwać przyczyny każdej z nich oddzielnie, jeżeli wogóle jest rzeczywiście zamiar uleczenia ich.

Ponieważ wiadomem jest, że medycyna zajmuje się obecnie przeważnie osłabieniem nerwowem, wzmagającem się bezustannie, sądziliśmy, że doktorzy ogłoszą jednomyślnie krucyatę przeciwko nieprzepartemu pociągowi, sprawiającemu, że klasy wyższe przemieniają noc na dzień.

Nieregularne życie owo sprowadza ze swej strony nadmierne użycie alkoholu i innych napojów narkotycznych. Gdyby jeden z wielkich wszechświatowych kongresów wykazał, że tak samo praca, jak nocne rozrywki, wymagają wydatku nadzwyczajnych sił, że powietrze w miejscach zebrań jest niezdrowe, wentylacya wadliwa, wskutek czego daje się uczuć większa potrzeba egzaltacyi, podniecenia, podrażnienia nerwów, słowem wszystkich wybryków; gdyby wszyscy doktorzy wołali do nas jednym głosem: „wróćcie do słońca, żyjcie w słońcu, bo słońce odżywia, jest zdrojowiskiem zdrowia, jego promienie zabijają straszne mikroby; tylko od słońca zapo-



Biblioteka Załuskich w Warszawie.
Główny gmach przy ulicy Daniłowiczowskiej przed ostatnią przeróbką.



Biblioteka Załuskich w Warszawie.
Główny gmach przy ulicy Daniłowiczowskiej od strony dziedzińca przed ostatnią przeróbką z poumieszczanemi popiersiami królów polskich.

życzają idee światła, kolorytu i ożywienia!“

Wszyscy ci, którzy obserwowali politykę lat kilkudziesięciu, wszyscy ci muszą się zapytać, skąd pochodzi to olbrzymie łaknienie sensacyi, — bo ludzie przestali się już lubować w prawdzie (lub kłamstwie), jeżeli one nie obiecują upojenia umysłu.

Francuzki filozof, Michelet, powiedział kiedyś, że niektóre stulecia ucharakteryzowane są pewnemi grasującemi w nich chorobami, i tak: 13 wiek panowaniem trądu, 14 — spustoszeniem morowego powietrza, „czarnej“ śmierci i t. d. Jeżeli się zgodzimy na powyższe mniemanie i w ten sam sposób będziemy śledzili symptomaty właściwe naszemu stuleciu, to trzebaby nazwać wiek 20-ty wiekiem Neurasthenii, t. j. wiekiem nerwów.

W rzeczywistości, wiele bardzo przemawia za tem, żeby nasz wiek oznaczyć jako osłabione nerwowo stulecie. Czasy, w których siła pary wszystkiem rządzi i każda praca z piorunującym pośpiechem się wykonywa, stawiają też największe wymagania zdolnościom ludzkiej maszyny, a w szczególności motorowi tej ostatniej, to jest ustrojowi nerwowemu. Walka o byt, którą teraźniejszość prowadzi doskonalszą bronią, niż w zeszłych stuleciach, lecz także uporczywiej i gwałtowniej, — powołuje do czynu we wszystkich fazach siły naszego organizmu, trzyma jednak w najwyższem naprężeniu przedewszystkiem myśli nasze i uczucia, zmysły i dążenia, badanie i rozwagę — słowem wszystkie czynności nerwów. Więc cóż dziwnego, jeżeli się maszyna zawcześnie popsuje, jeżeli siła nerwów łatwo się wyczerpie? Nerwowy system dziecka już jest zaatakowany przez szkołę, z jej coraz wyżej wyśrubowanemi, wymaganiami germanizacyjnemi, z powodu których fizyczne i umysłowe wysiłki nie zawsze się rachują z delikatnem organizmem wieku dziecięcego. Razem z obowiązkami szkół dzisiejszych występuje, jak czarny cień, godne politowania nerwowe osłabienie młodzieży. W dalszym rozwoju życia ludzkości, przynosi człowiekowi okres samodzielnej pracy, pracy na chleb, za wiele chwil nadmiernego wysiłku nerwowego, kiedy z drugiej strony życie towarzyskie, z jego gonitwą za wyrafinowanem użyciem wywołuje podrażnienie i znużenie nerwów. Współczesne wychowanie naszych dziewcząt, z przeciążeniem przez umysłowy balast, a z zaniedbaniem fizycznego rozwoju, prowadzi do zaatakowania sił nerwowych, którego ślady są widoczne w późniejszem ich życiu, jako żon i matek i co najgorsze, przechodzi dziedzicznie na nową generacyę!

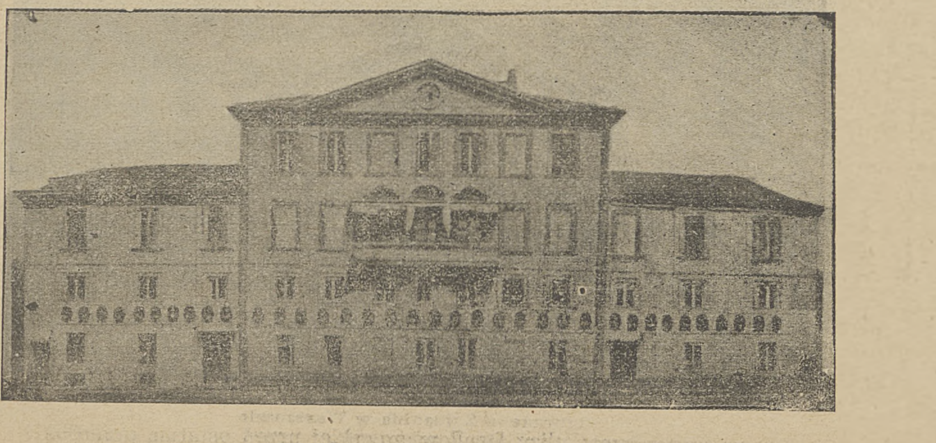
Jako nerwowe osłabienie, neurastenia, oznacza pewien niemoralny ich stan, który się objawia w rzeczywistości przez wygórowaną drażliwość i zmniejszone zdolności nerwów.

Nie może być zadaniem tej wzmianki bliższe określenie delikatnych i różnorodnych organizacyi nerwowych i danie szczegółów o nerwowym aparacie, za pomocą którego wykonywuje się czynności duszy organizmu: świadomość, wrażliwość, myśli, czucia i woli, dobrowolne i mimowolne poruszenia, odżywcze i odrębne wypadki itd. Chcemy tylko zwrócić uwagę na rzecz główną. Weźmy np. uczucia strachu i gwałtów, które występują przy najmniejszym powodzie i trzymają w swej mocy wszystkie myśli i czyny, że często przychodzi z trudnością wyrokować, czy czasami nie nastąpiło rzeczywiste zaciemnienie umysłu.

Niezwykłą formą takiego uczucia — strachu — jest to, że niektórzy chorzy, czujący się bardzo dobrze na długich ścieżkach i przy wstępowaniu na wysokie góry, nie są jednak w stanie iść sami przez duży pusty plac. Kiedy który z nich zobaczy taki plac, nieszczęśliwy zaraz dostaje bicia serca i zawrotu; na czoło występuje pot, nogi i ręce zaczynają drżeć, robi mu się ciemno w oczach, dostaje szumu w uszach, czuje się jak wrośnięty w ziemię i nie może naprzód iść ani kroku. Biedak nie jest w stanie przejść przez ów plac i musi daleko obchodzić, ażeby dojść do celu swej podróży; jeżeli zmusił się do przejścia placu, to z pewnością wróci się z połowy drogi i żadna siła nie zmusi go znów iść naprzód. Jeżeli zaś cierpiący na „strach przestrzeni“ czuje obok siebie kogoś, choćby to nawet było dziecko, którego mógłby się trzymać, wówczas może to nienawistne dla siebie miejsce przejść spokojnie. Również dla odpędzenia tego strachu służy czasami laska lub parasol, jeżeli się dotknięty podpierać może temi przedmiotami, albo też jeżeli idzie prosto za wozem, jadącym przed nim, trzymając się go jako przewodnika.

Podobny strach przytrafia się także innym chorym na nerwy osobom — kiedy wchodzą do zamkniętego miejsca, napełnionego ludźmi. Nie mogą z powyższych względów znajdować się ani w teatrze, ani w koncertowej sali ani w kościele, i jak zrobią nad sobą ten wysiłek, to w tej chwili występują niepokojące wyobrażenia, napady zawrotu glowy, a nawet zemdlenia. Takie z przerażającą siłą objawiające się nagle ataki strachu zdarzają się też przy przebywaniu samotnie w pokoju przy zamkniętych drzwiach i oknach, przy przechodzeniu mostu, przy jeździe koleją lub łódką.

Najgłówniejszy warunek w leczeniu neurastenii, najczęściej bardzo trudny do zastosowonia, leży w tem, ażeby przyczyny, które wywołują osłabienie nerwów, usunąć. Dla tego jest bardzo ważne, chorych o ile jest to



Biblioteka Załuskich w Warszawie.
Główny gmach przy ulicy Daniłowiczowskiej po ostatniej przeróbce.

możliwe, wyrwać ze zwykłych warunków i przesiedlić w przyjemne, spokojne, wiejskie okolice.

Każda okoliczność, mogąca wywołać natężenie, rozdrażnienie lub wzruszenie, musi być bezwarunkowo pilnie strzeżona; każda praca, umysłowa czy też fizyczna, każda rozrywka, powinna być w miarę, ażeby się siła nerwów na nowo wzmocniła i uspokoiła.

Gdzie neurastenia w rodzinie przypada dzieciom, jako niepożądane dziedzictwo już od kolebki, tam wychowanie wymaga szczególnego starania. Trzeba się bezustannie starać o rozbudzenie odporności nerwów. Dzieci nie powinny być rozpieszczane i wychuchane, pomimo wszystkich ostrożności o ich fizyczny rozwój; powinny być zmuszone do przezwyciężania swego usposobienia i skłonności. Ich umysł wymaga również jak ciało, surowego i prawidłowego kształcenia, dostatecznego wzmocnienia i ćwiczeń bez przeciążenia.

Skoro tacy urodzeni nerwowcy dosięgną wieku młodzieńczego, powinni się wystrzegać używania napojów wyskokowych, chronić się od wszelkiej rozpusty i nie przeciążać umysłu zanadto pilnemi studyami. Powinni obracać wolny czas na zastosowaną dobrze gimnastykę ,na rozrywki na świeżem powietrzu ,noc zaś przepędzać w zupełnym spokoju, w dostatecznym śnie.

Wielu studentów, którzy przynieśli z sobą na świat zarodek tej choroby, nie tyle zrujnowała naukowa dzienna praca, jak nocne hulanki i knajpowanie. Gdzie w rodzinie nerwy panują w wysokim stopniu i ślady tej choroby objawiają się we wczesnej młodości, wówczas powinien młody człowiek, należący do takiej rodziny, oddać się takiemu zawodowi, który mało będzie pobudzał ambicyę i namiętności, i stworzy więcej spokojny, rozmyślający sposób życia, jak np. przy niektórych zajęciach przemysłu miejskiego lub wiejskiego gospodarstwa. Młode dziewczęta zagrożone neurastenią, powinny być strzeżone od czytania złych książek i od stosunków z egzaltowanemi dziewczętami, żeby fantazya nie zapanowała w nich niepodzielnie i nie rozbudziła dążeń i wymagań ,których życie nigdy nie zaspokoi.

Najwięcej zabijają się nerwowi używaniem alkoholu i opium. W winie i alkoholu znajdują środek podniecający, w opium sposób uspokajania się. Bardzo prędko przyzwyczajają się nerwowi do używania napojów wyskokowych, pobudzających i podrażniających, i w krótkim czasie spadają stopniowo w alkoholizm, lub posługują się dla uspokojenia cierpień opiumem, zastrzykują sobie morfinę i wpadają w straszny obłęd morfinizmu. Także dość rozpowszechniona kawa, herbata i palenie tytuniu, przyczynia się do pogorszenia ich stanu.

A więc, żeby neurastenia nie przybrała jeszcze większych rozmiarów i nie ujęła całej współczesnej generacyi, powinna każda inteligentna jednostka działać w swojem kółku przykładem i dobrym wpływem, powinna wejść do walki przeciwko tej sile, która osłabia nasz rodzaj, przeciwko pustej gonitwie za bogactwem, nieznającym wytchnienia wysiłkiem za „coraz więcej,“ przeciw bezgranicznemu używaniu zmysłowych rozkoszy, wiekuistemu pośpiechowi za pieniędzmi, wyróżnieniem się i władzą, powinna współdziałać z pielęgnowaniem samokształcenia i moralnej przewagi, żeby każdy lazł zadowolenie w swojej pracy, w przekonaniu, że są do zdobycia szlachetniejsze rozkosze od materyalnych i żeby prawdziwe szczęście cichemu i spokojnemu familijnemu życiu, jako największy skarb, przypadło w udziale.

T. P.

Z Watykanu.

Papież Pius X. ma się zdecydować ostatecznie na wybór nowego sekretarza stanu w miejsce kardynała Rampolli. Będzie nim kardynał Francesco



Kardynał Francesco Satolli.

Satolli; urodził się w Marsciano dnia 21-go lipca 1839-go roku, kardynałem mianowano go w dniu 29-tym listopada 1895-go roku. Satolli piastował za rządów Leona XIII. jako mąż nadzwyczaj uczony, urząd prefekta nauk podczas świętych kongregacyi.

—ski.

O! Gdybym mógł!...

O! Gdybym mógł rozmachem krzepkiego ramienia
Podźwignąć ziemię w słońce z pomroku uśpienia
Kędy z drogi zbaczając po manowcach błądzi!...

Gdybym mógł wyrwać bole w sercach ludzkich plenne,
Obetrzeć ócz miliony od mórz łez bezdenne
I przygnieść . . . .

O! Gdybym mógł! —
Lecz nic to!
Pracować wciąż warto,

By ziemia chociaż trochę z bezdroży zboczyła,
By łza z jednego więcej oka była startą,
By jednym mniej tryumfem przemoc się tuczyła!

O! Bracia! To wystarczy! Lecz kiedy opadną
Ręce choćby na chwilę z gnuśnością bezwładną
Gdy do duszy cichaczem zwątpień upior zbłądzi...

To wstrzymamy blask zorzy co zakwitnie w łunie
I odwróci się od nas. — Jutro — i w twarz plunie
I w koronie z piorunów Pan Bóg nas osądzi!

Józef Derwicz.

W Leżajsku 1903.

Pług z machiną spirytusową.

Spirytusu w ostatnim czasie zaczęto używać skutecznie do pędzenia machin tak w przemyśle jak też w rolnictwie. Technika na tem polu już niejedno odniosła zwycięztwo, a świeżo znowu zbogaciła się znacznie nowym wynalazkiem, mianowicie pługiem, zaopatrzonym w spirytusową machinę motorową. Pług ten uznano na ostatniej wystawie machin w Berlinie za nadzwyczaj praktyczny. Rycina poniżej zamieszczona unaocznia nam manipulacyę zresztą dość łatwą. Pług przeginający się połączony jest z machiną (lokomobilą) spirytusową po obu stronach liniami drutowemi, ciągnącemi pług po mającej się zorać roli tak w jednę jak też w drugą stronę. Przy zmianie spuszcza się aparat przy pługu, urządzony w kształcie huśtaw-

ki, i oracz zmienia siedzenie według potrzeby, jak obrazuje rycina. Próby wszędzie wykazały dobre rezultaty pod każdym względem. Głębokość brózd wynosiła do 14 cali.

—ski.

Wspomnienia z niewoli moskiewskiej *roku 1863-go,*

przez **B. M.**

III.

Wymarsz do Kielc. — Wesołość u stóp szubienic. — Więzienie i śledztwo. — Przybycie mojej matki. — Drugi i trzeci protokół. —

Pobyt mój w Staszowie trwał przez dni 40. Po upływie tego czasu przybyły z Kielc znowu dwie roty pułku Smoleńskiego, żeby nas zabrać do tego miasta. Napisałem raz jeszcze list do mojej matki i pożegnałem się z mieszkańcami Staszowa, którzy mi okazali tyle serdecznego współczucia. Marsz do Kielc trwał dwa dni i odbył się tak jak poprzednie pochody. Oficerowie moskiewscy, więcej niż koledzy ich w niektórych innych armiach, okazywali poloru towarzyskiego, albo przynajmniej ludzkości dla więźniów. Miło mi jest zapisać tu ten szczegół i oddać sprawiedliwość komu należy, zwłaszcza że mnóstwo okrucieństw, popełnianych przez pojedyncze indywidua i dzicz, służącą w szeregach, rzuca już i tak bardzo niekorzystne światło na całą armię moskiewską. Wprawdzie opisy tych barbarzyńskich mordów i katowań które się tak często tam zdarzają, nietylko nie są przesadzone, ale nawet bardzo jeszcze słabo malują okropną rzeczywistość, z drugiej znów strony możnaby zacytować przykłady ludzkości, któreby warto podać do naśladowania niejednemu, który się chlubi cywilizacją wyższą od moskiewskiej. Już ten jeden fakt godnym jest uwzględnienia, że rannych powstańców, nie podejrzanych o pełnienie wyższych funkcyi, nie porywano i nie pociągano do śledztwa przed wyleczeniem się z ran i zupełnem wyzdrowieniem. Inaczej atoli miała się rzecz z byłymi naczelnikami oddziałów, z mniemanymi członkami rządu narodowego itp.

Po przybyciu naszem do Kielc oglądał nas znowu Czengiery, i kazał nas odprowadzić do więzienia. Przebyliśmy bramę, dziedziniec, potem sklepiony kurytarz i znowu drugie podwórze, na którem nas rozdzielono. Mnie, Monsego i p. A. przeznaczono do jednego pomieszkania. Klucznik zaprowadził nas tam i z wielkim trzaskiem otworzył ogromne drzwi dębowe, silnie okute w żelazo. Weszliśmy do pokoju, w którym za ukazaniem się naszem wszystko ucichło. Nieznajomi koledzy przywitali nas i prosili do drugiego pokoju, aby nas na samym wstępie poczęstować herbatą. Zdziwiliśmy i ucieszyli się zarazem, widząc się w bardzo dobranem towarzystwie mieszkającem tu dosyć wygodnie. Pokój obszerny, łóżko porządne, stoły, krzesła, ławeczki, słowem, była to kaźnia protekcjonalna, a jak na więzienie, nie mogliśmy sobie życzyć nic lepszego.

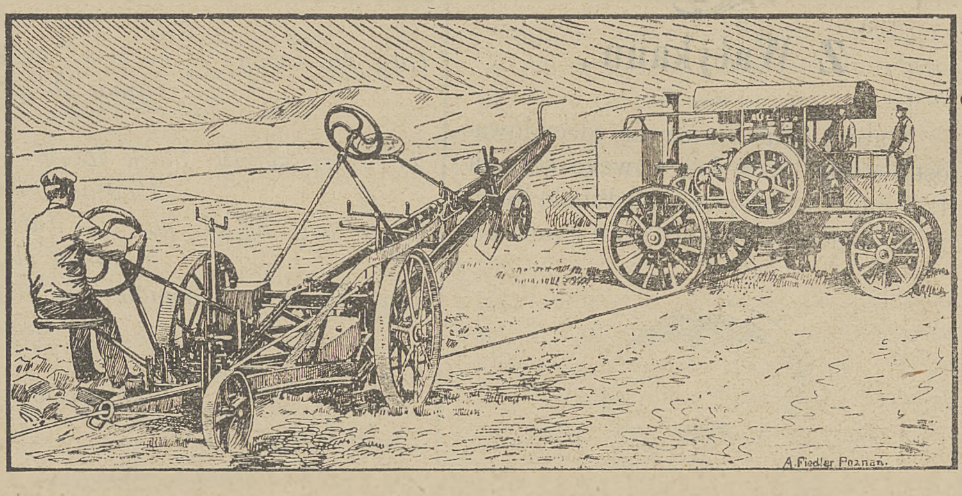
Po herbacie pokładliśmy się spać, lecz mimo znużenia i wygodnej pościeli nie mogliśmy zmrużyć oka. Krzyki, śmiechy, skakania po łóżkach, nie dawały nam usnąć. Nie wiedzieliśmy już co myśleć o naszem towarzystwie i poczynaliśmy obawiać się, czy nas Moskale nie zamknęli przypadkiem do czubków; gdy jeden z naszych nowych towarzyszy, spostrzegłszy nasze zdziwienie, wytłumaczył nam powód tej nadzwyczajnej wrzawy. Jeden z więźniów, niejaki p. Katerla, wskutek przejęcia papierów pułkownika Kurowskiego przekonany przez Moskali, że był mianowany naczelnikiem miasta Wolbromia, miał otrzymać wyrok śmierci, a gdy nas wpuszczono do celi, sądził, że już idą po niego. Przekonawszy się później, że wyrok chyba nazajutrz wykonanym zostanie, wpadł w niesłychanie dobry humor, i ze swawoli nikomu spać nie dawał.

Dwa miesiące później, skazanym został nie na śmierć, ale na 8 lat do robót katorżnych i w drodze na Sybir umarł. Taki to los spotkał niejednego z nieszczęśliwych wygnańców.

Nazajutrz obeznaliśmy się z niektórymi szczegółami, tyczącymi się przepisów kaziennych. Drzwi od cel więziennych, prowadzące na dziedziniec wewnętrzny, otwierano codziennie od 6-tej rano do 6-tej wieczorem, i każdy mógł przechadzać się podług woli. Kto nie miał wiktu z miasta, otrzymywał pokarm kazienny, niezbyt smaczny: rano jakiś barszczyk siwy z jagłami, na obiad kapuśniak lub kasza jaglana i kawałek mięsa, jakoteż bocheneczek białego chleba. My z tego wszystkiego braliśmy tylko chleb. Widzieć się z krewnymi lub znajomymi, można było tylko za osobnem pozwoleniem naczelnika wojennego, lecz oficerowie i bez tego pozwolenia nie zabraniali nikomu, chyba z małemi wyjątkami, widzieć się na parę minut z więźniem. Codziennie wieczorem oficerowie odwiedzali nas i odliczali, czyli któren nie uciekł.

Okna pomieszkania naszego wychodziły na piękny ogród publiczny, bardzo uczęszczany przez mieszkańców miasta, lecz tylko przez szpary w koszach mogliśmy co zobaczyć. Zabudowanie więzienne w Kielcach stanowi wielki czworobok, obrócony jedną ścianą do tego ogrodu, drugą ku górze zwanej „Karczówka“, i klasztorowi Panien Miłosiernych, trzecią ku pałacowi biskupiemu. Zbrodniarze niepolityczni umieszczeni byli daleko od nas i mieli osobne podwórze do przechadzki. Straż pilnująca nas składała się z samych inwalidów, komendantem tejże był oficer karaulny, który miał swój pokój przed bramą wchodową, obok pomieszkania dozorcy więzień i kancelaryi tego ostatniego.

W Kielcach zabawić miałem dłuższy czas, ponieważ dotąd nie byłem jeszcze badany. Ludzie wolni nie łatwo pojmą, jak nudno i smutno wleką się godziny w kaźni. Na moje szczęście zamknięto ze mną kilku panów, mających stosunki z miastem. Za ich pomocą wkrótce miałem książki, karty, gazety itd. W trzy tygodnie po przybyciu mojem do Kielc, wchodzi oficer dyżurny do kaźni, zabiera mnie i Monsego, i prowadzi nas pod eskortą, odludnemi uliczkami do auditora, mówiąc,



Pług z machiną spirytusową.

że będą z nami protokół robić. U auditora zastaliśmy prezesa komisyi śledczej. Panowie ci zadawali nam każdemu z osobna, następujące pytania:

— Jak się pan nazywasz?

— N. N.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia pięć.

— Kto pan jesteś?

— Oficer ....ki bez dymisji.

— Kto dowodził oddziałem?

— Major Hościakiewicz....

— Po co pan przyszedłeś do Polski!

— Bić się!

— Jakto! bić się?

— Widząc mój naród ciemiężony pod berłem moskiewskiem, ofiarowałem mu ramię moje.

— Dobrowolnie?

— Tak jest.

— Zostałeś pan z bronią w ręku, czy też bez tejże ujęty?

— Z bronią w ręku!

Umówiwszy się naprzód z Monsem odpowiadaliśmy obydwa jednako. Widać, otwartość nasza musiała się podobać tym panom, bo prosili nas siedzieć, i przy pożegnaniu podali nam rękę.

Kilka tygodni minęło od tej chwili, dwa transporta jeńców, po sto ludzi prawie liczących, popędzono do Radomia, a między nimi zabrano mi kilku moich dobrych kolegów. Ja tylko na próżno oczekiwałem jakiej zmiany w mojem położeniu, gdy pewnego dnia przychodzi do mnie naprzeciw mojej kaźni siedzący powstaniec, niejaki Karczowski, i powiada, że pani jakaś przekupiwszy straż stanęła pod jego oknem i ze mną widzieć się żąda. Nie mając nikogo znajomego w mieście, gubiłem się w domysłach, komuby się chciało odwiedzać mię. Niespokojny wszedłem do kaźni. Zaglądam przez szparę od kosza w okno, — i o Boże! poznaję moją matkę!

Biedna matka moja! Wdowa, zostawiwszy młodszego syna na opiekę poczciwych ludzi, przyjechała tyle mil za mną, chcąc mnie koniecznie wydobyć z trudnego mego położenia. Serce mi się ścisnęło, tak biedaczka była zmienioną. Powitałem ją z daleka, a bojąc się jakiej nieprzyjemności dla niej, prosiłem, żeby odeszła, i na drugi dzień prosiła dyżurnego oficera, o pozwolenie widzenia się ze mną. Ze ściśnioną piersią odszedłem od okna. Tak blisko mnie była, a nawet uściskać jej nie mogłem! W tej chwili najbardziej uczułem, że jestem więźniem!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O zmroku.

(Wspomnienie z życia górali.)

Według starego zwyczaju rozsiedli się gazdowie na ławce przed Juhasową izbą i gwarzą. Dyć niedziela — to gwarzyć mogą.... nikt nie woła do roboty. A najbardziej wykrzykuje stary Juhas, ten, co to ma już dziewięćdziesiąty piąty rok....

— Hej! były to czasy, mój Ty Boże jedyny, hej były....

— Zwierza było w lesie, jak biedy u ludzi teraz....

— Żyłeś se, jak król — dorzucił jeden z Janosików, strasznie dumny z tego, że ma w rodzie największego rozbójnika na Podhalu. — Żyłeś se, jak król — powtórzył tęsknie — wszyćko było twoje.... i te góry i lasy i zamki....

— Ej! powiem wam — począł biadać Juhas — nie tak to drzewiej bywało. Nie patrzałeś ta wtedy za suchym plackiem, boś se go jadł ze spyrką, albo i z dziczyzną.

— Hoj....

I podnieśli starzy czoła do góry, jakoby wyczekiwali, kiedy grom spadnie z nieba i zmiecie ten nędzny świat razem z jego biedą. Lecz niebo było czyste i jaśniejsze od ziemi, którą wziął w swe objęcia szary Mrok.

Z poza sinych krawędzi gór począł wychylać się wynędzniały gazda nocy — księżyc blady.... Po polach włóczyła się senna osmętnica i jakaś chuda, przeciągła postać, o wstrętnych, zapadłych oczach.

To głód....

Zwyczajnie na przednowku się zjawia i ludziom strasznie dokucza. Dzieci koszule wtedy gryzą i bolesnemi oczyma spoglądają na wybladłe z nędzy matki i płaczą; a matkom serca pękają z boleści.

Tak, to głód....

To on wypędza synów i córki, braci i siostry za morze na zarobek — to on sprowadza morowe powietrze...

Wtedy jedzą ludzie, co złapią: perz, liście i różne korzonki, lub zdychają, jak bydlęta, gdzie ich napadnie Śmierć.... Wielkim i strasznym panem ten jest chudy.... Głód.

— Może nas tego roku ominie....

— Niby co?

— Jakto? Nie wiecie, że przednowek teraz?

— Aaa.... Wiem, wiem.... We wsi słychać coraz częstsze narzekania i płacze.... Wiem.... wiem....

I zamyślił się bardzo stary Juhas.

— A przecieżeśmy mogli lepiej dla naszych dzieci zrobić — rzekł wreszcie.

— Jakto? — zapytał ciekawie Zaremba, nie wiele młodszy od Juhasa.

— Mogliśmy iść....

— Kany?

— W czterdziestym szóstym....

— Rznąć?!!... Bójcie się Boga!....

— Milcz!.... Nie o tem gadam. Mogliśmy iść z Andruśkiewicem na wojsko i prać....

— Mogliśmy....

I nagle stanęły im w oczach długie szeregi górali w cuchach na szyję pozarzucanych, z ciupagami w ręku i z ogniem w piersi, a z błyskawicą w oku.... Na czele stoi Andruśkiewic, chochołowski organista i woła:

„Zwyciężymy lub zginiemy" — a dalej, z boku stoi chochołowski proboszcz i krzyżem błogosławi im na drogę....

I szli.... Długim, wyciągniętym sznurem szli od Chochołowa do Czarnego Dunajca, do nich łączyli się Zakopiańscy, Ludźmierscy, Rogoźniczanie, Odrowążanie.... I szli ogromną szeroką ławą — zdawało się, że świat zawojują. W Dunajcu była msza za nich, poświęcili broń, pożegnali się ze swojskimi ludźmi i poszli walczyć w obronie wolności Ojczyzny. Przyszli ku Pieniążkowicom.... a tu, o zgrozo!... dwór w płomieniach, ludzie dworscy jak szaleni gonią po polach, za nimi pędzą z nożami i kosami chłopi... i górale musieli się wrócić; przecież na braci swych nie pójdą a bracia ich — niewinnem byli narzędziem katów, co Polskę i jej synów żywcem w dół zakopać chcieli....

— Mogliśmy iść szukać wojska — szepnął Juhas — i rżnąć do ostatniego. A tak i Andruśkiewica powiesili i księdza wzięli, a tamci „od Lachów" łupili już ostatni dwór....

— Nie wiedzieli, co robią...

— Bieda i ktoś jeszcze do tego ich zmusił...

— !?....

Zaremba otwarł usta szeroko.

— A kto nam dawał pieniądze — krzyknął zezłoszczony Juhas — kto dawał, żebyśmy Andruskiewicza wydali i szli rżnąć panów? Nie wiecie, kto? Cóż otwieracie gembę?

— Wiem... wiem — szeptał Zaremba — to ci... mandaterzy i ziandary...

Straszna nienawiść i ból ciężki ogarnął serca starców, którzy wielką śnili przyszłość i szli po nią, jako orły i powracać musieli bez niej, jako orły, które z dumą spuszczają się ku równinom, aby pokazać innym ptakom niewyczerpaną moc swych skrzydeł, lecz powracać muszą nie osiągnąwszy celu, bo na przeszkodzie stanął im mur z trupów i połamanych skrzydeł ich braci: orłów i sokołów...

— Teraz bieda i nędza....

— Cóż na nią począć?

— Dzieciom dać nóż do ręki i cze-

kać, bo z ludźmi złymi inaczej nie poczniesz, jeno z nożem w ręce...

To rzekłszy, oddał się głębokiej zadumie stary Juhas.

I jakby przez sen, widział olbrzymie szeregi młodych, gibkich, jak trzcina, górali, idących z pieśnią radości na ustach... Słyszy tę pieśń... Słyszy ją, czy mu się zdaje ,czy naprawdę, ktoś ją śpiewa...

Wierskiem, chłopcy, wierskiem —
Wierskiem, chłopcy, jacy...
Brońmy nasej Polski,
Bośmy są Polacy!
Hohoho!...

— Kto to śpiewa?

— To ktoś przy potoku...

— Czochołów jeszcze nie zginął — szepnął Juhas i począł się modlić. Modlił się długo i rzewnie, a księżyc słuchał tej modlitwy starca i srebrnymi płomieniami głowę jego otoczył. Juhas wyglądał, jak święty...

— I wszystkich oświeć i oddal biedę od ludzi i daj nam wieczną wolność — wyszeptał półgłosem...

— Amen — szeptali starcy przez długą chwilę i łzy ronili święte, pełne tęsknoty za lepszą dolą...

Feliks Gwiżdż.

Czarny Bartek.

Szkic kredą.

—*—

(Dokończenie.)

Pewnego razu przybył z za morza jakiś pan do polskich osad.

Przechodząc przez wykarczowane lasy, ujrzał białą dziewczynkę i czarnego chłopca, jak szli trzymając się za ręce.

Przemówił do nich po francuzku i po portugalsku, spojrzeli się, nic nie odpowiadając.

Aż kiedy szepnął kilka słów w polskiej mowie sam do siebie, chłopiec i dziewczynka żywo ku niemu przyskoczyli.

— „My zaprowadzimy pana do naszych osad!“ — krzyknęli wesoło.

— „A któż ty, chłopcze?“ — zapytał pan.

— „Ja jestem „Czarny Bartek,“ a to moja siostra rodzona, choć biała“ — odpowiedział zapytany pośpiesznie.

Przybyły pan wypytywał o osady polskie w Brazylii. Wkrótce przybył i pan drugi. Zasięgali wiadomości u osadników o losach emigrantów, którzy w tej porze tłumnie jechali z kraju do Brazylii. Ale ani rodzina Walczaków, ani inni koloniści z okolic Thomas Coelho, o tym tłumie rodaków, cierpiących istną nędzę w innych częściach olbrzymiego kraju, nic nie wiedzieli.

— „Przyprowadźcie panowie ich tutaj, to im w kupie lepiej będzie!“ — mówili starsi z gromady. Panowie poszukiwali biednych bezrolnych i przywieźli dla nich z Warszawy bilety oraz fundusze na powrotną drogę.

Widząc tu dość zamożnych osadników, odjechali do Santa Cataríny przez lasy, odprowadzeni gromkim „Szczęść Boże.“ Naprożno prosił ich Czarny Bartek, ażeby go wzięli ze sobą i pozwolili kraj daleki za morzami zobaczyć.

— Przyjedziemy tu na rok drugi— to cię zabierzemy!“ — rzekli.

Myśl o zobaczeniu tej ojczystej krainy matki, spokoju mu nie dawała, a panowie nie przyjeżdżali.

Czekał Bartek i czekał...

Kiedy podrósł przyszedł do matki i rzekł... — „Matulu, chcę pracować na siebie, wyjść na ludzi i dług wam spłacić na starość. Tutaj dla mnie pola niema, pójdę daleko, a później, zebrawszy pieniądze, wrócę. Nauczyłem się po portugalsku, to mi łatwo będzie znaleść miejsce w mieście!“ Matka zatrzymała go przy sobie, tłomacząc, że choć czarny, lecz jest jej synem najmilszym, jednak widząc, że trudno jej zwalczyć opór chłopaka, pożegnała go i radziła, żeby niedługo między obcymi bawił.

Poszedł Czarny Bartek naprzód do Santa Cataríny. Tam pracował na plantacyach i z partyą robotników polskich udał się do odległego Rio Janeiro.

Kiedy uzbierali w porcie nadspodziewanie dużo pieniędzy, towarzysz Bartka, Grzegorz Drzazga, z Galicyi, odezwał się w te słowa: — „Słuchaj Bartek, ty chcesz koniecznie zobaczyć naszą ziemię, a i mnie się cni bez niej. Pojedziemy, ona nie tak daleko, jam do tej waszej krainy nieprzywykły!“ Zgodził się Bartłomiej Negritto, sądząc, że ta polska kraina jego matki blizko się znajduje.

Jechali i jechali strasznie długo morzem na okręcie, który ich wywiózł z Rio Janeiro.

Czarny Bartek podziwiał wspaniały widok oceanu i olbrzymich parowców. Po długiej podróży, która mu się wiecznością wydawała, przybyli do Bremy, a stamtąd pojechali koleją do Lwowa.

Na ziemi ojczystej matki swojej Bartek niedługo podziwiał piękno natury i dzieła rąk ludzkich. Kiedy przybył już do Europy i jechał z Bremy, były to początki listopada. Mroźne powietrze podziałało na jego organizm podzwrotnikowy, nieprzywykły do mroźnego klimatu i zmian temperatury.

Kiedy dowlekli się do Lwowa, rzekł do towarzysza. — „Słabo mi i gorąco!“

Drzazga, bojąc się odpowiedzialności za śmierć murzyna, umieścił go po długich staraniach w jednym ze szpitali Lwowa.

— „Przyjadę — rzekł — do ciebie niedługo,“ — i sam wyjechał na wieś do rodziny.

Zamieć szalała na ulicach Lwowa, W szpitalu miejskim, na biało posłanych łóżkach leżeli chorzy. Pomiędzy tymi chorymi, którym białość pokrywała lica, widać było jedną czarną twarz murzyna. Przed nim stała siostra miłosierdzia, w białym jak śnieg kornecie i, chyląc się nad jego łóżkiem, czule przemawiała do niego po polsku:

— „Bartku, jakże ci dzisiaj?“

Bartek, wlepiwszy w nią oczy, jak w święty obrazek, nic nie odpowiadał. Dostał on silnego zapalenia płuc, gorączkował, a dreszcze poruszały jego czarnem ciałem, od czasu do czasu pluł krwią.

Na drugi dzień pogorszyło mu się znacznie. Po kilkunastu dniach cierpienia Bartek umarł. Przed śmiercią zdawało mu się, że anioł piękny i biały prowadzi go do Thomas Coelho, a później, blizko osady Walczakowej, do domu matki i ojczyma. Matka siedzi przed chatą, on u jej kolan, przeprasza, że tak długo nie wracał i opowiada, co widział, będąc w jej ziemi rodzinnej. A zdala słychać szum wiatru z ogromnych pampasów i słychać krzyki różnokolorowych ptasząt. Ludzie zbiegają się do niego i pytają.

— „Czarny Bartku, coś tam widział u naszych?!

— „Oj widziałem dużo, i czułem się jak u siebie, tylko mnie tu boli!“ Czarny Bartek schwycił się ręką za piersi i upadł na poduszki...

Na lwowskim Łyczakowskim cmentarzu przybyła mogiła. Nikt prawie nie wiedział, że spoczął tam Czarny Bartek, Bartłomiej Negritto, syn Polki i murzyna, urodzony w Brazylii i mówiący dobrze po polsku. Od chorego umierającego niewiele można się było dowiedzieć.

Przybyły zapóźno Drzazga po niewczasie opowiedział jednemu z członków lwowskiego towarzystwa geograficzno handlowego o losach zmarłego czarnego, przybyłego z kolonij, któremi się świeżo zorganizowane towarzystwo interesuje. Po roku mogiła Czarnego Bartka, znajdując się na końcu cmentarza, już zrosła się z innemi, którym on był bratem, tak, że trudno było by jej ślad odnaleźć. Nad mogiłą tu

nie przelata pstry brazylijski mały koliber, jeno ćwierka szary wróbel żałośnie, siedząc na przyległym kasztanie.

Władysław Karoli.

Z urywków.

Nim śmierć na sercu mem położy rękę,
Zanim Snu Anioł przypłynie skrzydlaty,
Niech mi zagrają tę słodką piosenkę,
Jaką słyszałem już niegdyś przed laty.

Piosnkę wolności, wiary i miłości
Niech mi zagrają znów na harfie złotej,
A wnet rozwinę duszy mojej loty
I poszybuję cicho w kraj wieczności.

Zanim do świętych odejdę wybrzeży,
Wsłucham się w piosnki zapomnianej tony,
A duch mój znowu w szczęśliwość uwierzy,
W ów kwiat, rosnący pośród ziemskiej strony.

I, nie żałując już niczego w świecie,
Bez żadnych uczuć ziemskiej w sercu wojny,
Odejdzie cichy i ufny, jak dziecię,
Odejdzie smutny, korny i spokojny.

Lecz, nim na sercu śmierć położy rękę,
Zanim Snu Anioł przypłynie skrzydlaty
Niech mi raz jeszcze zagrają piosenkę,
Słyszaną niegdyś przed laty, przed laty...

Tadeusz Kończyc.

RĘKA.

Z opowiadań rabina.

Raz, jadąc furmanką z historycznej Koziej-wólki do Pacanowa, także wielce znakomitego miasta w dziejach naszych i ludzkości, miałem za towarzyszy gromadę żydów. Jeden wyróżniał się bardzo znacząco pośród całego towarzystwa zachowaniem się swojem, postawą, jakoteż pewną powagą i godnością. Był to starzec o długiej mojżeszowej brodzie; nieco przystrzyżone wąsy odkrywały usta ściągnięte, równe, o zarysie energicznym, a na całej twarzy rozlewał się wyraz zamyślenia, spokoju i skupienia się w sobie, jaki bardzo często widzieć można u ludzi, zajętych pracą umysłową.

Czarna aksamitna jarmułka, pokrywająca wierzchołek głowy, pozwalała widzieć zarys pięknego, kształtnego, proporcyonalnego czoła, z którego patrzyły doświadczenie i powaga.

W czasie odprawienia modlitw rannych, spostrzegłem, że żyd ów modlił się głośniej od innych, głos jego drżał większą energią smutku i rozpaczy, a modlitwa dłużej trwała. Inni z pewnem uszanowaniem otaczali go. Każdy po kolei coś mu długo i namiętnie — jak żydzi umieją — opowiadał, a starzec ów słuchał z wielką uwagą, skupieniem i spokojem; odpowiadał zaś rzadko a krótko.

Nie dopytywałem się wcale co to za jeden, bo nie chciałem być natrętnym.

Ciekawość moja zaspokojoną została wkrótce w inny sposób.

Było to w lecie. Wprawdzie spieszno mi było ujrzeć co rychlej tak znakomite miasto jak Pacanów, ale furman stanowczo oświadczył, że popasać musi.

— Nu! pan płaci pół rubla i nie troszczy się o to, że moje konie zdechną, za które ja zapłaciłem sześćdziesiąt rubli! Czy to sprawiedliwość? Końskie nogi, to mój *chlib*, to moja *bułke* na szabas, to moja *rybke*...

W lesie więc, przy karczmie gdzie była woda studzienna i cieniu dosyć, zatrzymał się. Zdjął uzdeczki z koni, postronki odpiął na dyszlu powiesił *opałki* z obrokiem — nie było rady... musieliśmy wysiąść.

Wkrótce konie pospuszczały głowy do torby, żuły powoli i prychały zawzięcie, wydmuchując pył z obroku, a gromadka żydów, z owym starcem pośrodku, zasiadła pod dębem do spożycia śniadania. Chodziłem markotny, bom sam jeden reprezentował gojów, a żydzi tak byli sobą zajęci i śniadaniem, żem się zbliżyć do nich nie śmiał. Usiadłem na ławeczce przed karczmą i obserwowałem kupkę siedzącą pod dębem.

W czasie śniadania rozmowa ustała prawie zupełnie. Uważałem, że posiłek ich był niezmiernie skromny, umiarkowany i nie wybredny. Jeden wyjął z papierka udo kurze i jadł je z chlebem powoli, nie spiesząc się; zjadłszy mięso, kość starannie osmoktał, końce palców oblizał; znowu do kości wrócił, gryzł ją ostrożnie, znowu smoktał, przełamał, szpik z obu połówek wyssał i rzucił nareszcie. Inny z taką samą pedanteryą malutkiemi kawałeczkami spożywał jajko, ugotowane na twardo; przełamał skorupkę na kilka części, białko do niej przystające palcem od strony paznogcia oddzielił, językiem wylizał — jednem słowem robił to z pedanteryą i powagą tak wielką, jakby dokonywał największej i najpilniejszej roboty. Każdą cząstkę jedzenia każdy z nich brał do rąk powolnie, uważnie, przyglądał się, jakby skarbowi jakiemu — i spożywał wreszcie.

Dla obojętnego widza było coś w tem ich jedzeniu komicznego i wysoce poważnego. Cały komizm na pierwszy rzut oka na tem polegał, że zbyt wielka powaga stosowaną była do rzeczy pozornie zbyt małej. Wprawdzie smakosze lubią delektować się jedzeniem, ale żydzi nigdy nie spożywają swego ubogiego jedzenia jako smakosze. Skądże ta powaga i owe nadymanie się przy jedzeniu, tem większe im potrawa wybredniejsza.

Krótkie śniadanie podróżnych zostało już spożyte, ale konie nie zjadły jeszcze obroku i nie piły wody — trzeba więc było czekać.

Po śniadaniu znowu się rozpoczęła bardzo żywa ogólna rozmowa w żargonie. Zbliżyłem się do nich i słuchałem. Jeden z podróżnych opowiadał szczegóły stosunku swego z dziedzicem, który go zarwał na pewną sumkę. Rozumiałem treść rozmowy, ale udałem, że nie rozumiem, nie chcąc ich krępować. Ten właśnie, który skargi swoje opowiadał, zwrócił się do mnie:

— Pan myśli sobie, że żydzi się kłócą? Prawda?

— Wcale nie.

Odpowiedź moja zdziwiła go. Pragnąc widocznie zainteresować mnie także swojem opowiadaniem, rzekł:

— Jak boli, to człowiek krzyczy.... — zaczął.

— Nie zawsze... — przerwałem mu — czasem milczy.

Uwaga moja zreflektowała go nieco. Spojrzał mi uważnie w oczy.

— Co prawda, to prawda, ale choćby nie krzyczał, to go przecie boli...

Wiedziałem do czego wstęp ten zdąża.

— Proszę pana, za pozwoleniem, ja nie obrażam jego godności. Gadam im, że mówią teraz na nasze żydy, że co żyd to łotr, szelma, gałgan... Nu, teraz taka młoda. Moda bywa rozumna i głupia. Czy to każdy nie widzi tego co dnia na wiosnę i na jesień? Jak nastanie moda taka, że tylko patrzeć na nią i śmiać się, to zawsze najgłupsze ludzie według niej się ustroją. Jednym chodzi o wygodę, drugim o to, ażeby się ludzie na nich patrzyli. Ja mój chałat dziesięć lat noszę i moda w nim dobra, ale *wun* nie jest ani żółty, ani czerwony; rękawy nie są tak wązkie, że ręką ruszyć nie można, a poły po piętach mnie nie biją.... Mode bywa do sukni i do głowy. Głupia głowa głupiej mody się trzyma. Taka moda nastała na łajanie żydów na całym świecie. Może gdzie to i potrzebne, ale głupi nie pyta gdzie? Nie pytają i u nas, ale łają. Niech im to na zdrowie służy... *Woni*

robią jak paskudne uliczniki. Widzi pan, człowiek zajęty uczciwą robotą nie ma czasu na błazeństwa, ale ulicznik głupi, próżniak, wun się nieraz bawi cudzym spokojem i życiem. Zbierają się w kupy, wymyślają tym co idą spokojnie po drodze, rzucają kamieniami do okien... Im chodzi o to, ażeby wywołać harmider, bo w tem zamąceniu oni ryby łapią...

— Stała się panu jaka krzywda? — wtrąciłem.

— O joj! — rzekł z pewnem wzruszeniem.

I opowiadać począł nawiązanie stosunków swoich z bogatym dziedzicem, które dość długo były najlepsze, aż dopóki Jaśnie Wielmożny dziedzic nie pożyczył od niego pewnej sumki, którą Srul uważał za przepadłą.

— Nu? to pany tak robią? — rzekł skończywszy — to za pozwoleniem łapserdaki tylko! Gdzie tu na nich ulicznik kamieniem nie rzuca i rzadko kto ma odwagę głośno powiedzieć, że *woni* łajdaki! I jestże to sprawiedliwość na świecie? — wołał znowu Srul, poruszony do głębi.

Starzec ów siwobrody udziału w naszej rozmowie nie brał, chociaż z zachowania się jego widać było, że w umyśle coś ważył. Spokojne jego oczy ożywiły się blaskiem, usta, zda się, mocniej jeszcze zacisnęły się, a nawet powolny ruch ręki, gładzącej brodę, świadczył, że starzec nie był obojętnym słuchaczem naszej rozmowy.

Był to, jak się później dowiedziałem, rabin, powracający — z wycieczki w sąsiedztwo — do domu. Pragnąc widocznie złagodzić gniew opowiadającego, zwrócił się niby do mnie, niby do innych.

— On ma krzywdę to gada od serca... Na człowieka narzekać można, ale na sprawiedliwość nie trzeba; ona przyjdzie... Nie taka co się ubiera w znaki, ale inna... Ona znajdzie i żyda i goja. Znałem ja takiego żyda, który ukarany został... i goj będzie ukarany kiedyś...

— Więc pan wierzysz — zwróciłem się do niego — że jest sprawiedliwość na świecie?

— Wierzę, że jest — odrzekł poważnie i spokojnie, nie przestając brody głaskać.

Rabin zamilkł. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niemu z pewnem natężeniem.

— Sprawiedliwość bywa różna... — zaczął po chwili — niby dwie wiary: jedna taka, którą ludzie mierzą, a druga, którą Pan Bóg mierzy. Ludzką sprawiedliwość każdy widzi, inaczej ją tylko nazywa: jeden prawdą, drugą krzywdą. Sprawiedliwość boska to taka rzecz, co na nią rzadko kto uwagę zwraca, a jeżeli i widzi, to nazywa niesprawiedliwością, lub nieszczęściem, chorobą, szczęściem, losem... jak kto chce. Panu Bogu to wszystko jedno. Na to ażeby się urodzić złym człowiekiem ,albo stać się nim, nie potrzeba być wcale ani żydem ani gojem, ale człowiekiem. Przed Panem Bogiem wszyscy równi, on nie kocha jednych więcej od drugich, bo inaczej Pan Bóg byłby głupi jak człowiek. Łajdaki są i pany i żydy; do tego przywileju nie potrzeba. Nieraz wszyscy wiedzą co kto wart. Gęby ludziom nigdy zatkać nie można. Jeden z drugim przyjaźni się niby, je u niego i pije, a wychodzi i za drzwiami mówi: szelma. Tam gdzie tylko język miele, można słyszeć różne sądy: ci gadają tak, inni owak. Gęba jak młyn; każda inaczej miele. Ale jeżeli na cudzem sumieniu ciąży czyja krzywda lub jakiś paskudny interes, o tym jedni cicho, drudzy głośno, ale to samo powiedzą: szelma. Takiego zawsze kara spotka, jak nie od ludzi, to od Boga. A cóż to jest kara?... Sprawiedliwość.

Rabina unosiły widocznie własne jego myśli. Oko mu roziskrzyło się ogniem.

— Ja panu co powiem... — zaczął znowu ze zwykłą sobie powagą i spokojem. — Znałem jednego żyda, który nazywał się Pipełe... Nu, Pipełe? Co to? To jest nic... Pipele sobie Pipełe... To pospolite nazwisko, nie takie ładne jak Goldberg, Goldman, Löwenberg... Gold, panie to złoto, a Löwe, lew, i to i tamto znaczy siłę. Niby *Gold* to ono sobie takie maleńkie, ciężkie, niepokaźne, ale ono ma siłę, ono światem rusza... Ten Pipełe, to jeszcze piętnaście lat temu, chodził w chałacie, krótszym niż żydowski, niby surdut niby chałat, i był sobie taki żydek, jakich dużo na świecie. Że ubogi, to jeszcze nie wada. Zaczął on interes z takim, który miał pieniądze i po roku rozeszli się, chociaż interes szedł dobrze i Pipele robił pieniądze. Spólnicy kłócili się; poszli do sądu. Pipełe wygrał, ale wszyscy ludzie powiedzieli: to szelma i oszust. W kilka lat potem Pipełe już dorobił się trochę pieniędzy. Dwie sieroty miały kamienicę. Pipele poznał się z opiekunem, zaprzyjaźnił się; — mieszkał w tym domu. Naraz gruchnęła wieść, że kamienica pójdzie na licytacyę za długi... i poszła. Dłużnicy zgodzili się czekać na wypłatę długów z komornego, bo kamienica była bardzo ładna; w ten sposób oni uratowaliby swój kapitał, a sieroty majątek. Na licytacyi nikt nie stanął, bo wszyscy wiedzieli, że to grosz sierocy, ale stanął Pipełe i kupił. Miał za sobą prawo, ale ludzie znowu w jeden głos powiedzieli: to szelma i oszust! Można taką krzywdę zrobić, co ją wszyscy widzą, i pójść do kryminału, a można taką, za którą do kryminału nie posadzą, ale ludzie powiedzą: szelma i oszust! Im miał więcej pieniędzy, tem częściej panu Pipełe trafiały się dobre interesy. Każdy powiększał jego majątek; do czego się dotknął wszystko mu szło jak z płatka, ale po każdym dobrym interesie ludzie zawsze powtarzali to samo: szelma i oszust. Nie było ani jednego człowieka, któryby myślał inaczej. Pipełe nic sobie z tego nie robił. Słyszał, że są tacy, którzy mają po sto i więcej milionów majątku. Kupił sobie ich portrety, powiesił przed kantorkiem u siebie i powiedział: „Ja chcę być takim... W porównaniu z nimi ja jestem bardzo ubogi, bo mam tylko jeden milion...“ Tymczasem pieniądze się robiły dalej. Pieniądz jeden drugiego zawsze szuka. One lubią się kupy trzymać. Z tego worka gdzie jest mniej, uciekają do tego gdzie więcej. I Pipełe bogaciał. Chałat jego stawał się coraz krótszym, aż wreszcie stał się takim krótkim, że za pozwoleniem... ledwie krzyże zakrywał. Pipełe ożenił się; ze żoną wziął majątek znaczny, otarł się między ludźmi, grał już rolę pana, ale nie mógł się doczekać dzieci. Chciał mieć dzieci, ale Pan Bóg nie dawał... Może umyślnie... Pan Bóg wie co robi. Nieraz kiedy Pipełe sam w domu został i przechadzał się pośród swoich skarbów, osiadała mu niby chmura na czole i myślał cichutko: — „Wolałbym mniej trochę... byle dzieci były. Któż to wszystko po mnie zabierze?“ — Ale zmartwienia nie przeszkadzały pieniądzom zbierać się do kupy. Wreszcie doczekał się Pipełe syna. Aj waj! Jak on się radował! już chyba więcej człowiek cieszyć się nie może! Na szpital dał duże pieniądze, do synagogi kupił srebrny świecznik, który centnar przeszło ważył, ubogim rozdał jałmużnę wielką, a znajomym swoim wyprawił ucztę... taką, że ja nie wiem czy może być lepsza! Po wieczerzy wszyscy mówili: „Pan przyjąłeś nas po hrabiowsku... pan jesteś prawdziwy mecenas.“ Oni tak nazywali jakiegoś bogatego pana. Sam to słyszałem. Wychodząc, zatrzymałem się przed bramą. Aż widzę idą ci sami panowie, ale już mówią inaczej: „Cóż ty powiesz na to — odzywa się jeden do drugiego — że szczęście służy takiemu szelmie i oszustowi! Tysiąc biedaków musiał obedrzeć, ażeby sobie kamienic nakupić, a teraz atłasem meble obił i

srebrne serwisy na stole postawił.“ Od czasu urodzenia się syna Pipełe, przestał się nazywać Pipele, ale baron von Pipel. Pojechał sobie za granicę i przywiózł baroństwo. Co prawda baroństwo było fałszowane. Wszędzie są tacy ludzie co to za pieniądze wyszukają jakiegoś znakomitego przodka, no, i do niego każdego przylepić można. Mniejsza o to. Synek rósł... Był to ładny chłopczyk. Miał bony, guwernantki; no, czego jemu brakowało! Wszystko miał co bogatych rodziców dziecko mieć może! Rodzice kochali go i strzegli jak oka w głowie, lekarz nie odstępował go ani na krok. Najuboższym rodzicom dziecko przynosi szczęście, a cóż dopiero bogatym, którzy tego szczęścia długo pragnęli i doczekali się nareszcie. Pipełe wyraźnie powiedział: „Teraz mam dla kogo żyć i pracować!“ — Majątek jego pomnażał się niby czarodziejskim sposobem. Pipele rósł nie tylko w dostatek, ale i... w to... co ludzie nazywają szacunkiem. Wszyscy mu się kłaniali, ściskali mu rękę, całowali. Każdy, zdaje się, że mu rad byłby duszę oddać. Miał wszystkiego dosyć. — Wszystko się koło niego zmieniło, tylko ludzie uczciwi, jak dawniej, i teraz mówili o nim to samo: szelma i oszust! Nieraz, kiedy sam siedział przed swoim kantorkiem, smutek go opanowywał, głowę schylał w obie dłonie, na portrety milionerów nie patrzył i pytał sam siebie: „Za co oni mnie nienawidzą! Dlaczego bogactwo moje kole ich w oczy! Co ja im zrobiłem złego?“ W pokoju było cicho i tylko zegar odpowiadał mu: „Nic, nic, nic...“ — „Na co mi to borykanie się z ludźmi? Po co mi ta zniewaga, której co dnia doświadczam? Mam dosyć! Ucieknę z tego kraju, od tych ludzi ohydnych, przeklnę tę ziemię, na której się urodziłem i zamieszkam daleko ztąd, daleko... To co mam, wystarczy, ażeby kupić sobie wygodę, spokój i szczęście... Tam, gdzie umieją uszanować człowieka, wychowam mego syna...“ — Bardzo go kochał. — Kiedyś w nocy, nagle dziecko zachorowało... Bóg jeden wie z czego! Położyło się najzdrowsze, najweselsze. Śród snu wydobyło mu się z gardła piskliwe chrapanie, jak gdyby je kto dusił. Pipełe posłyszał pierwszy. Jak tylko odgłos ostrego oddechu dziecka doleciał do jego uszu, doznał takiego uczucia, jak gdyby go kto nożem w serce pchnął. Zerwał się na równe nogi i do łóżeczka syna przybiegł. Dziecko spało, ale chrapało przez sen. W sypialnym jego pokoju paliła się lampka nocna i światełko różowe oświecało mu twarz, Czołko i twarz dziecka kurczyły się bólem widocznym. Pipełe przestraszony obudził syna. — „Co tobie, moja dziecino?“ — „Dusi mię coś...“ — „Gdzie? co?“ — „Tu... tu...“ Rączką pokazywał na gardło. Pipełe dom cały obudził. Posłał po lekarza jednego, drugiego. Tymczasem chrapanie syna powtarzało się coraz silniej, gwałtowniej; oddech zdawał się tak trudny, że dziecko dusiło się wyraźnie. Przyjechali lekarze. Oglądnęli dziecko: źle! Jakaś mu się narośl nagle w gardle zrobiła i tamowała oddech. Dziecko rzucało się niby w konwulsyach na wszystkie strony, podnosiło głowę, wyprężało szyję i ręce, otwierało usta, jakby pragnęło złapać trochę powietrza i padało bezsilnie tam gdzie stało. Lekarze próbowali tego i owego środka — daremnie. Dziecko chrapało ciągle i tylko co chwila wyrywał się z jego piersi piszczący odgłos, niby pianie koguta. Przestraszone oczy zwracał do ojca: — „Tatuś! tatuś! Ratuj mnie!“ — wołał, patrząc błagającem spojrzeniem. Pipełe pochwycił go w objęcia, do siebie przytulał, trząsł — sam nie wiedział co robi. — „Dusi mnie“ — wołało dziecko — „wody... dusi...“ — „Gdzie?“ — Tu, tu, tu... ręka jakaś mnie dusi...“ — Pipełe byłby własne życie oddał za życie dziecka. Na wołanie to oczy mu się otworzyły szeroko. — „Jaka ręka? Czyja?“ — krzyczał przestraszony. — „Rę...ka, ręka...“ — odpowiadało dziecko coraz ciszej. Pipele do lekarzy się zwrócił. — „Róbcie co na miłość boską! Ratujcie tę niewinną dziecinę! Co chcecie zapłacę wam, dam...“ — Operacyę trzeba zrobić... może przyda się na co...“ — Głos lekarzy był cichy, spokojny obojętny. — „Dobrze... róbcie wszystko... ale prędko...“ — Jeden z nich popędził do domu po instrumenty. W kwadrans potem syn już nie żył. Ostatnie wyrazy, które wyszeptał, były: — „Tatku... ręka... dusi mnie...“ I skonał. Pipełe zasługiwał na litość. Ludzie głośno okazywali mu współczucie, a cicho szeptali: „Skarał Pan Bóg szelmę i oszusta!“

Rabin patrzył we mnie i jak gdyby zapytania czekał.

— Cóż to znowu za kara?! — zawołałem — niewinny umarł, a łotr został przy życiu.

Rabin uśmiechnął się pobłażliwie.

— Pan Bóg wie co robi... — odrzekł z filozoficznym spokojem. — Człowiek karze po swojemu, a Pan Bóg po swojemu...

Dowodzenie rabina wydało mi się mocno naciąganem.

— No, ale ta ręka, ręka... o której pan mówiłeś? Cóż to za ręka?

— To ta sama, która na ścianie kiedyś pisała: *mane, tekel...*

— Więc pan myślisz, że ona należy do kogoś...

— Nie wiem — przerwał rabin — ale ja myślę, że to *sprawiedliwość.*

W tej chwili spostrzegliśmy furmana, podążającego ku nam z batogiem w ręku. Klaskał i wołał głośno:

— Fahren! Fahren! Geschwind! Geschwind!

Wsiedliśmy po kolei do pakownej bryki — i pojechali.

Fr. Rawita.

Nekrologia.

S. p. Wojciech Łubieński.

Śmierć zaskoczyła znienacka znanego obywatela Wojciecha Łubieńskiego w majątku jego w Kiączynie pod Kazimierzem. Gdy w zeszłą sobotę czytaliśmy w „Dzien. Pozn.“ list jego motywujący wniosek o zmianę regulaminu wyborczego, autor listu już nie żył. Z rana dnia tego wyjechał na polowanie. Spostrzegłszy w polu rogacza, podjechał ku niemu i wziął od furmana sztucer, a dubeltówkę oparł w karyolce obok siebie. Kiedy stanął do strzału, dubeltówka się usunęła, kurki uderzyły o stopień, dwa strzały padły a jeden z nich po goleni ugodził zmarlego w żywot i prawdopodobnie porozrywał wnętrzności. Krew gwałtownie zaczęła ubiegać z rannego a gdy go przywieziono do domu, już wszelki ratunek okazał się niemożebnym. Lekarz zastał trupa. Nieszczęsną wdowę z dziećmi wiadomość telegraficzna z zagranicy powołała do domu.

Tragiczny ten wypadek i zgon smutnem echem rozległ się w szerokich kołach. Zmarły bowiem od chwili, gdy przejął od ojca Kiączyn, brał żywy udział w życiu publicznem i nie uchylał się nigdy od ważnych obowiązków obywatelskich. Należał do zarządu Tow. rolniczego, gorliwie zajmował się Kółkami rolniczemi w swym powiecie, był członkiem izby rolniczej i posłem na sejm powiatowy gdzie niejednokrotnie występował ostro przeciwko stronniczym władzom. I tak szczególnie wytykał germanizowanie dzieci polskich w zakładzie szubińskim.

Dzieliły nas z zmarłym przekonania, bo ś. p. Łubieński, konserwatysta w każdym calu, był człowiekiem starego autoramentu: Nie rozumiał dzisiejszych prądów, dlatego nie chciał ich rozumieć i miał staroświeckie uprzedzenia, lecz wszystko to nie przeszkadza nam przyznać, że ogół nasz traci w nim inteligentnego i jednego

z najczynniejszych obywateli wiejskich oraz gorącego patryotę.

Ś. p. Wojciech urodził się w r. 1856 w Kiączynie z ojca Bogusława, posła na sejm, i Anny z Wierzbińskich. Pozostawia żonę: Joannę z Chełkowskich, trzy córki i małoletniego syna.

Cześć jego pamięci!

Jeszcze wciąż można zapisywać

„PRACĘ"

na nowy kwartał,

***gdyż zaległe numery** jest zobowiązana każda poczta dostarczyć nowym przedpłacicielom na żądanie.*

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 f. n.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z Poznania.

W 2.-ym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 17 wielkich arkuszy „Pracy" — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę", każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Na franko prosimy nadesłać 20 fenygów w znaczkach pocztowych.

Komu zależy na punktualnem regularnem otrzymywaniu „Pracy", niech zamówi „Pracę" na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Nadzwyczajne

piękne premium,

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **trzech nowych abonentów** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premium za nadesłaniem 50 fenygów w znaczkach pocztowych na porto

kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach w pięknej oprawie z wyzłoconym grzbietem (**najnowsze wydanie**).

Kto z Czytelników chce te książki od nas kupić, ten niech nadeśle nam 2 marki na książki oraz 50 fenygów na portoryum, razem 2 marki 50 fen., a otrzyma odwrotnie ***kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach*** za bezcen.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **jednego nowego abonenta** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako

premium

***piękny obraz historyczny w kolorach**, oraz zajmującą książkę powieściową* za nadesłaniem 10-cio fenygowego znaczka pocztowego na porto.

Już największy czas zapisać

„Czytelnię Polską"

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA" zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13."

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ" wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

pod opaską: kwartalnie 1,10 mk. czyli 1 koronę 23 hal.

Kto chce mieć początek drukującej się w „Czytelni polskiej" bardzo pięknej powieści p. t. „Męczennica", niech nadeśle na franko znaczek pocztowy 10-cio fenygowy.

Wiadomości.

— **Przedwyborcze walne zebranie** dla powiatu inowrocławskiego odbędzie się w Inowrocławiu, dnia 18-go b. m. o godzinie 3-ciej z południa w hotelu Basta. Porządek obrad:

Zagajenie zebrania przez przewodniczącego.

Nauka o wyborach do sejmu.

Przedłożenie listy kandydatów na posłów do sejmu pruskiego.

Wyznaczenie kwoty na cele wyborcze dla komitetu prowincyonalnego.

Wolne wnioski.

Za komitet wyborczy dla powiatu inowrocławskiego.

Marceli Szyfter z Jacewa, przewodniczący.

Józef Grosman z Inowrocławia, sekretarz.

— **Walne zebranie wyborcze** na powiat Szamotulski odbędzie się w Szamotułach na sali p. Studniewskiego w niedzielę dnia 18-go października r. b. o godz. 3 i pół po południu, a zaraz potem posiedzenie Komitetu powiatowego.

Komitet wyborczy na powiat Szamotulski.

— *Dr. Łowiński*, lekarz prakt., chirurg i akuszer osiadł w mieście naszem przy ulicy Rycerskiej nr. 9. Leczy specyalnie metodą homeopatyczną, używając lekarstw z apteki własnej,

— *Firma „Domagalski te Comp."* przy ulicy Berlińskiej nr. 14 i 15 — właściciele pp. *Maryan Domagalski* i *Zygmunt Bąkowski* — pierwsza poznańska fabryka parowa olejów eterycznych, esencyi, nietrujących farb i destylarnia koniaków poleca swe wyroby służące do fabrykacyi wódek, likierów, nalewek i t. d. (patrz ogłoszenie).

— *Panie B. Wendland i M. Mazurkiewicz* przy ulicy Wiktoryi 8, polecają gotowe bluzki, gorsety i wszelkie inne artykuły damskie i męzkie oraz towary krótkie. Ceny nizkie.

Tapety poleca p. *F. Kostrzyński* — specyalny skład tapet przy ulicy św. Marcina nr. 56.

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie p. A. Denizota, właściciela szkółek drzew i krzewów owocowych i ozdobnych w Poznaniu przy ulicy Kolejowej 45. Właściciel szkółek znany jest ogólnie z dostawy dobrego towaru, rzetelnej obsługi i nader umiarkowanych cen, dlatego śmiało polecić go możemy względom Szan. Czytelników naszych. Na życzenie firma ta wysyła darmo swój najnowszy ilustrowany a bardzo jasno ułożony katalog w którym

znaleźć można wszystko, co tylko w dział szkółek wchodzi.

— **Bank ziemski** kupił około 620 mórg w Smiglu, posiadłość miejską od p. Geislera, którą natychmiast rozparcelować zamierza pomiędzy mieszczan i sąsiednich włościan.

Do tego interesu odnosi się wiadomość w „Pos. Tageblatt“ Nr. 477.

— **W czasie** od 28 do 30 września r. b. odbyła się w Łomży w Królestwie Polskiem, wystawa rolnicza, w której pomiędzy innemi wzięła udział zaszczytnie znana tutejsza *fabryka H. Cegielski, Towarzystwo akcyjne.* Wystawlone w znacznej ilości wyroby tej fabryki, mianowicie pługi różnych gatunków z sławnym *dwuskibowcem „Rekord“ na czele*, brony, maneże, młocarnie, sieczkarnie, kartoflarki, sortowniki do kartofli, a przedewszystkiem narzędzia i maszyny, specyalnie do użytku włościan zbudowane i po raz pierwszy na wystawę wysłane, ogólne zyskały uznanie, a nietylko *wszystkie te okazy na miejscu sprzedane* zostały, lecz otrzymała jeszcze fabryka *znaczne zamowienie* do natychmiastowej dostawy, jak też na przyszły sezon wiosenny.

— **Slub.** Dnia 29-go z. m. pobłogosławionym został w kaplicy Sióstr Elźbietanek w Poznaniu związek małżeński pomiędzy kupcem p. Mieczysławem Machnińskim a panną Kaźmirą Hahnówną, obojgiem z Poznania.

Młodej parze „Szczęść Boże!“

— **Dla ofiar w Hucie Laury** nadesłał: p. Wincenty Stachoła ze Zbąszynia 2 mrk. Razem złożono u nas na ten cel 17 m.

— **Dla powodzian** na Górnym Śląsku otrzymaliśmy od p. Wincentego Stachoły ze Zbąszynia 1 m.

— **Komisya** kolonizacyjna, która już wydała 202 miliony, w ostatnich 13 latach wykupiła 307 majątków większych i 157 gospodarstw, z których miała dotychczas 43 miliony dochodu. Kosztem komisyi kolonizacyjnej stanęło 22 wielkich zborów i 16 mniejszych, wybudowano domy dla 20 pastorów i osiedlono 6010 rodzin niemieckich. Taka liczba rodzin mogłaby wydawać się pokaźną, gdyby to były rodziny sprowadzone z Niemiec, tymczasem wykazuje się, że 1064 rodzin niemieckich było już przedtem w Księstwie Poznańskim i pewnie drugie tyle z Prus królewskich, więc na ogół możnaby powiedzieć, że Niemcom przybyło 3000 rodzin, coby oznaczało mniej więcej, że na 100 Polaków przybyło pół procent. Nie dziw, że wobec takiego nabytku Niemcy nie mają powodu bardzo się cieszyć.

— **Polacy na obczyźnie.** W Duisburgu, w Nadrenii, odbył się zeszłej niedzieli wiec polski. Przemawiali na wiecu p. A. Brejski o wyborach do sejmu. p. Sosiński o potrzebie organizacyi zawodowych, p. Szłapiński o komisyi kolonizacyjnej, p. Regulski o stosunkach, jakie się utworzyły po ostatnich wyborach do parlamentu. W końcu p. Mikołajczak mówił o popieraniu pism polskich a p. Stanisławski o konieczności należenia do Towarzystw polskich. — W Krayn zwołał zarząd Zjednoczenia na zeszłą niedzielę wiec dla omówienia spraw robotniczych i knapszaftowych. Gdy redaktor p. Wojciechowski, który wiec zagaił, udzielił głosu członkowi zarządu p. Sibilskiemu, dozorujący zebranie wachmistrz policyjny p. Ortelsbach powiedział, iż wiec rozwiąże, skoro obrady toczyć się będą dalej w języku polskim. Nic nie pomogły wskazówki, że rozwiązanie wieca z takiego powodu sprzeciwiałoby się prawu. Pan O. odpowiadał na wszystkie wywody, że dla niego miarodajnemi są przepisy policyjne. Gdy zaś obradowano dalej po polsku, p. O. wstał i wiec rozwiązał. Zebrani rozeszli się w spokoju.

— **Odolanów.** Nowo założony tutaj bank ludowy, spółka zapisana z nieograniczoną poręką, której lokal mieści się w domu kupca p. Gąszczaka, przyjmuje oszczędności od 1 marki począwszy i płaci od depozytów zależnie od czasu wypowiedzenia 4—4 i pół proc. Niechaj ta łatwość składania zaoszczędzonego grosza w banku u swoich, w którym jest bezpieczniejszy, niżeli w domu, a przytem tak piękny procent przynosi, będzie dla mieszkańców Odolanowa i okolicy tem większą do oszczędności pobudką!

Przecież nie ukrywajmy oszczędności naszych w domu, gdzie w najlepszym razie, gdy ich złodziej nie ukradnie i ogień nie spali, leżą bezczynnie i żadnego nam nie odrzucają procentu, lecz oddawajmy je do banku z całem zaufaniem, bo za nie ręczą wszyscy jego członkowie całym swym majątkiem, więc nigdy nie przepadną; ile zaś kto złożył bankowi wyjawić nie wolno nikomu!

Zarząd
Bank Ludowy E. G. m. u. H.
Dr. Sobiech. Gąszczak. Świdziński.

— **Lipsk.** Stopień doktora medycyny uzyskał na tutejszym uniwersytecie w środę, dnia 7-go b. m. lekarz praktyczny p. Leon Idaszewski. z Pyszący pod Śremem.

Zmarli.

† Ś. p. *Franciszka z Szatkowskich Jaworska* w 67 roku w Toruniu.

† Ś. p. *Ignacowa Łukomska* dnia 5-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Bronisław Skórzewski* d. 6-go b. m. w Wrocławiu, przeżywszy lat 62. Zwłoki złożono w grobie rodzinnym w Kamieńcu dnia 9-go b. m.

† Ś. p. *Antonina z Wolnikowskich Górska* dnia 7-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 53.

† Ś. p. *Anna Klimkiewiczowa z Nowakowskich* dnia 11-go b. m. w Jarocinie.

Ruch w Towarzystwach.

— **Tow pol. kat. rękodzielników w Hamburgu.** Rodakom przybywającym do Hamburga, jako i rodakom tutejszym i okolicy pozwalam sobie donieść, iż lokal posiedzeń znajduje się u p. Franzena (Franzens Vereinshaus) przy Michaelistrasse naprzeciwko kościoła kat.

Posiedzenia nasze odbywają się do 1-go listopada co 14 dni, a od 1-go listopada odbywać się będą co niedzielę po nabożeństwie polskiem o godz. 7 wiecz.

Dyonizy Degórski,
sekretarz.

Od Redakcyi.

Panu Siersieniowi wBerlinie. — Korespondencyi nie zamieścimy, bo moglibyśmy się narazić na proces.

Panu I. Z. w Nowym Sączu (Galicya). — Na razie jesteśmy zaopatrzeni. Jeżeli bezinteresownie, to nadeślij Pan krótki utwór, a zamieścimy, jeżeli się będzie nadawał do druku.

Pani W. A. w Gnieźnie. — I my dokładnego adresu nie posiadamy. Zdaje się, że to nie jest sprawa czysta i zakrawa na „łapichłopstwo.“

Strapionej Matce (M. S.) w Ostrowie. — Najlepiej udaj się Pani do miejscowej gazety z tą sprawą, a nie wątpimy, że redakcya gazety składkę otworzy i że miłosierni Ostrowiacy w ciężkiej biedzie Pani dopomogą.

Panu Gack. w Starej Kiszewie. — Dziękujemy za łaskawą pamięć, serdeczne życzenia i słowa uznania. Listu zamieścić nie możemy, bobyśmy powędrowali do „kozy!“

Panu Stan. Lask. w Ord..., — Dziękujemy bardzo, ale nie zamieścimy, gdyż w tej sprawie zabieramy głos w każdym prawie numerze, a w ostatnim zamieściliśmy dłuższy artykuł o księżach germanizatorach.

Panu W. S. w K. — Wiemy tylko, że pisma takie nie wychodzą. Bliższej informacyi udzielić nie możemy.

Panu Bogusławowi D. w Paderbornie. — Sekretarzem Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego jest p. prof. dr. Łazarewicz; mieszka przy ulicy Fryderykowskiej nr. 9 w Poznaniu. Co do gimnazyi krakowskich poinformuje Pana najdokładniej Redakcya „Nowej Reformy“ w Krakowie.

Pani A. A. G. — Wywody tej pani zdają nam się całkiem rozsądne. Nie obiecuje ona złotych gór, lecz kawałek chleba uczciwie zarobionego i z pożytkiem dla ludzi. Nic nam nie wiadomo, aby była mowa o „posadach.“

Panu T. S. w M. — Jeżeli Pan masz to przeświadczenie, że jeden lub drugi nauczyciel niesłusznie 10 fenygówki od dzieci pościągał, lub nieodpowiednie świadectwo dziecku wystawił, to winieneś Pan zażalić się do inspektora powiatowego lub rejencyi w Poznaniu. — Prawa szkólnego dotychczas w Prusach nie mamy, więc dla tego nie można z pewnością wiedzieć, co nauczycielowi jest wolno, a co nie wolno robić.

Kwity pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię“ na nowy kwartał zamieszczone są na osobnej karcie pod okładką

Numery okazowe „Pracy“ i „Czytelni“ wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
„VULCAN“
I. F. J. Komendziński w Dreźnie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar.

Dział kobiecy.



Bohaterka chińska.

W październiku ubiegłego roku zamieszkała w San Francisco z zamiarem jaknajdokładniejszego zaznajomienia się z cywilizacją „białych“ dziewczę chińskie Si-king-king. Liczy ona lat 18 i jest córką bogatego kupca w Kantonie. Od wczesnego dzieciństwa odznaczała się wielkiemi zdolnościami, umysłem żywym i duszą wrażliwą. Wypadki r. 1900 żywo oddziałały na młodziutki umysł Si-king-king, tak, jak na umysły chińskiej młodzieży wogóle. Potworzyły się liczne patrjotyczne towarzystwa młodzieży, na zebraniach mówiono wiele o polityce, kończyło się jednak tylko na protestach przeciwko zaborczej polityce Europejczyków. I oto na jednem z zebrań takich w Kantonie zjawiła się pewnego razu Si-king-king, wówczas dziecko jeszcze prawie. Wskoczyła szybko na krzesło i śmiało poprosiła o głos. Można sobie wyobrazić zdziwienie, jakie ten niebywały dotąd postępek wywołał wśród obecnych. Kobieta w Chinach skazana jest na działalność w ciasnem kółku rodzinnem; o tem, by wystąpić chciała i śmiała na zebraniu męskiem, nikt nawet nie marzył. Ufna jednak w własne siły i rozumna Si-king-king, nie zmięszała się ani na chwilę i zaczęła swą mowę. Zrazu mówiła cicho, potem coraz głośniej i z coraz większym zapałem, który porywał słuchaczy. Przekonywała zebranych, że zwalczać powinni z całych sił dwóch wrogów: zewnętrznego, tj. znienawidzonych i chytrych cudzoziemców i wewnętrznego, t. j. chińską ospałość, opieszałość i uprzedzenia.

— Czyż możecie pozwolić — wołała z zapałem — żeby nam odbierano całe prowincye, dziedzictwo przodków naszych? Raczej umrzeć, aniżeli dawać piędź za piędzią ziemie nasze wilkom, które chcą nas pożreć.

Bujna wyobraźnia Wschodu otoczyła wkrótce imię Si-king-king mnóstwem legend poetyckich, a ludność widziała w niej ideał patryotyzmu wojującego, uosobienie idei zelżonej przez cudzoziemców ojczyzny. Si-king-king chciała najpierw przygotować się odpowiednio do zadania, które podjęła. Wyjechała do Ameryki uczyć się po europejsku. Ubiera się po europejsku, obserwuje obyczaje europejskie, a wyuczywszy się języka angielskiego, uczęszcza pilnie do szkół amerykańskich. Nie jest piękną, a tylko pełne wyrazu oczy jej uderzają blaskiem niezwykłym. Współpracownik paryskiego „Eclair“ miał sposobność rozmawiać o bohaterce chińskiej z posłem chińskim w Paryżu. Dyplomata nie zaprzeczał, że Si-king-king rzeczywiście istnieje i że cieszy się w „państwie niebieskiem“ zaszczytnym przydomkiem „wschodniej Joanny d'Arc“. Równocześnie oświadczył, że emancypacya kobiet przyjmować się zaczyna w Chinach coraz bardziej, zwłaszcza od chwili, gdy na czele ruchu tego stanęła cesarzowa-wdowa. Wydany przez nią niedawno zakaz znanego wszystkim szpecenia nóg kobiecych, jest w kraju tak zachowawczym, jak Chiny, wypadkiem pierwszorzędnej wagi.

Można mieć nadzieję, że na drodze zbliżenia się Europejczyków kobiety chińskie przodować teraz będą mężczyznom.

Pierwszy liść jesienny.

Donna Laura wiotka w pasie, jak bywają zwykle wiotkie oraz szczupłe panny, które ukończyły dawno, dawno drugi wiosen już dziesiątek, na tarasie pałacowym stoi na park zapatrzona...

Słońce blade blaski nieci, czerwienieją wina dzikie, pieczeniarze smukłych kolumn... Kasztanowe schną wachlarze i klonowy liść już przywiądł, grab rumieni się jak dziewczę na magiczny wyraz „kocham“...

Stoi Laura na tarasie, cerę kości ma słoniowej wyżłobionej zmarszczek siecią, takich drobnych, nieuchwytnych okiem w lupę nie orężnem...

Gdy tak stoi zadumana, co kobietom niezamężnym wszak przystoi, oddech wiatru nagiął zlekka drzew korony.

Potem cisza nastąpiła, uroczysta, niezmącona...

Donna Laura miękkim szalem przysłoniła obojczyki wystające z pod negliżu, jak to bywa w donny wieku.

Cisza, cisza... W dniu jesiennym nie odzywa się kukułka; słowik trelów już zapomniał.

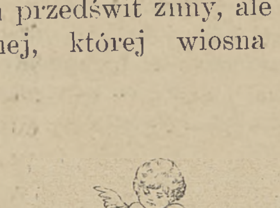
Wśród tej ciszy donna Laura, widzi suchy liść wierzbowy... Niczem płomyk, liść ów suchy od gałęzi oderwany zwolna pruje atmosferę, szybkim wirem mknie przy ziemi i z westchnieniem szeleszczącem na trawniku legł wybladłym.

— Mamo, mamo — zawołała, ta co niegdyś, dawno, dawno lat liczyła dwa tuziny i do sali pałacowej wpadła łkając.

Droga mamo! Doba lat już skończona, jesień wchodzi w swoje prawa nieugięte i mocniejsze niż stal w ogniu hartowana! Moja rozpacz nie ma granic... Szkoda pory śpiewu ptasząt, szkoda kwiatów, woni łącznej i fujarki w którą pasterz dął za trzodą postępując! Och, wyobraź sobie mamo, pierwszy suchy liść już opadł, co jest wróżką rychłej zimy!

Pokiwała matka głową osiwiałą i zgrzybiałą jak bywają głowy matron, których córki ukochane niegdyś miały lat trzydzieści.

— Liść zawiędły zimę wróży lecz ty własne masz kłopoty, bowiem spojrzeć chciej w zwierciadło... Na twej skroni wciąż dziewiczej w noc dzisiejszą, niecofnioną, narodził się włosek siwy, który, wierzaj Lauro moja, przepowiada przedświt zimy, ale zimy beznadziejnej, której wiosna już nie stopi...



Dział rolniczo-ekonomiczny.

Do Młodzieży Kupieckiej!

Nadchodzi pora zimowa odczytów i ożywionego ruchu umysłowego. Towarzystwo nasze chcąc stać na wysokości swego zadania urządza w tym roku w łonie swem kursa książkowości pojedyńczej i podwójnej oraz korespondencyi handlowej, zaś grono zdolnych prelegentów wygłosi szereg odczytów na tle handlowo-ekonomicznem.

Słyszymy wciąż skargi na niedostateczne wykształcenie tak szkolne jak zawodowe naszej młodzieży kupieckiej. Przyczyn tego objawu nie będziemy badać, chcemy atoli przyczynić się chociaż w części do uzupełnienia wiadomości, jakie kupiec młody posiadać winien. Uważamy za zbyteczne, zachęcać do brania udziału w kursach w przeświadczeniu, że młodzież kupiecka sama potrafi ocenić korzyści dla niej ztąd płynące.

Towarzystwo nasze jest ożywione jak najlepszemi zamiarami i wedle sił stara się członkom swym ofiarować korzyści, na jakie jego szczupłe środki pozwalają. Atoli jego wysiłki rozbijały się dotąd o apatyą i obojętność, jakie młodzież kupiecką w sprawach socyalno-ekonomicznych cechują, pragnie więc ono, aby młodzież kupiecka zapatrzywszy się na młodzież kupiecką innych narodowości, otrząsnęła się z tej bierności i żywiej poczęła interesować się sprawami z handlem i przemysłem w związku stojącemi, uczęszczając na odnośne zebrania, pogadanki oraz kursa rozszerzające zakres wiadomości kupieckich, nabrała uświadomienia swego zadania, jakie teraz i w przyszłości ma spełnić.

Smutnym jest fakt, że młodzież kupiecka nie czuje wcale potrzeby organizowania się, podczas gdy inne narody żyją tylko hasłem: „organizacya" a jeszcze smutniejszą jest prawda, że Towarzystwo nasze jak na stosunki poznańskie tak małą garstkę liczy członków. Każdy młody kupiec, miłujący w istocie swój zawód, powinien sobie za kardynalny obowiązek uważać, należeć wpierw do Towarzystwa odpowiadającego jego zawodowi, a takiem Towarzystwem w Poznaniu jest nasze.

Mamy silną wiarę, że niebawem w życie wejść mające nowe ustawy przyczynią się do rozwoju Towarzystwa, a członkom przyniosą większe korzyści z przynależenia doń. Na początek nie zaznaczyliśmy szerokich rozmiarów naszej działalności, chcemy wprzód zacząć od dołu i stopniowo stawiać sobie nowsze zadania, aby, chociaż po dłuższych, lecz zato w skutki pewniejszych zabiegach stanąć na trwałym fundamencie, by za lat kilka Towarzystwo nasze było w przybliżeniu podobnem do instytucyi Lipskiej lub Hamburgskiej.

Mając większą liczbę członków, będziemy w możności stworzyć dogodniejsze warunki wstępu do naszego Towarzystwa, dziś jeszcze niech każdy członek uważa się za cegiełkę do powstać się mającego gmachu. Zachęcamy szczególniej młodzież z instytucyi bankowych do wspólnej pracy. Skupiać trzeba nam siły, gdyż gromadą tylko skutecznie walczyć można o polepszenie bytu. Handel i przemysł nasz jest jeszcze w kołysce a do wzrostu jego przyczynić się może jedynie dobremi wiadomościami wyposażona młodzież kupiecka, a więc w młodzieży kupieckiej przyszłość naszego społeczeństwa.

Towarzystwo nasze posiada piękny lokal, zawsze dla członków otwarty, gdzie mogą wolne chwile od pracy mile spędzić, bądź to przez rozrywkę muzyczną, bądź przez lekturę różnych podręczników fachowych.

Poznań, w wrześniu 1903.

Zarząd
Towarzystwa Młodzieży Kupieckiej.
W. Jerzykiewicz, kurator.
H. Kollat, prezes. *W. Kontrowicz*, sekretarz.

Ważne dla młodego kupca! Kursa handlowe!

Dnia 12 października rb. rozpoczęliśmy kurs książkowości pojedyńczej i podwójnej, dnia 14 października r. b. kurs korespondencyi handlowej. Lekcye odbywają się punktualnie wieczorem o godz. $9^1/_2$ w lokalu Towarzystwa: książkowości: co poniedziałek i czwartek, korespondencyi: co środę i piątek.

Członkowie płacą: za kurs książkowości M. 5,—, za kurs korespondencyi M. 3,—. Nieczłonkowie zaś opłacają: za kurs książkowości M. 30,—, za kurs korespondencyi M. 20,—. Opłata uiszcza się z góry.

Nowi członkowie za opłatą wstępnego i rocznej składki z góry, mogą także korzystać z kursów po cenie zniżonej tj. za M. 5,—, wzgl. M. 3,00. Zgłoszenia piśmienne przyjmuje się każdego czasu.

Biuro wskazywania posad dla pomocników i uczniów handlowych otwieramy w paździeirniku.

Termin przyjmowania zgłoszeń podamy swego czasu do wiadomości.

Poznań, we wrześniu 1903.

Zarząd.
Towarzystwa Młodzieży Kupieckiej.
W. Jerzykiewicz, kurator.
H. Kollat, prezes. *W. Kontrowicz*, sekretarz.

Rozmaitości.

Chemik J. G. Dornig w Trachau pod Dreznem wynalazł sposób produkcyi alkoholu ze suchych odchodów (fekalii) ludzkich za pomocą suchej destylacyi. Alkohol w ten sposób zyskany nie różni się w niczem od alkoholu ze żyta lub kartofli.

Profesor dr. Mayer z Drezna i trzech przez urząd patentowy wyznaczonych chemików udali się do laboratoryum wynalazcy i przekonali się, że z jednego kilograma suchych ludzkich odchodów wydobyć można 70 gramów alkoholu, co czyni 9 litrów na 100 kilogramów fekalii, gdy kartofle wydają z tej samej wagi $11^1/_2$ litra. Utworzyło się już towarzystwo akcyjne celem tej produkcyi, ale rząd saski nie chciał dotychczas udzielić konsensu. Obliczono, że miasto liczące 100000 mieszkańców może w ten sposób wyprodukować rocznie 4500 hektolitrów alkoholu, który w ten sposób stanieje.

Srebro, np. srebrne łyżki, nieużywane i leżące długo w szufladach, czernieją zupełnie. Nie jest to dowodem złego srebra, gdyż owszem ,czem lepsze srebro, tem łatwiej czernieje, wskutek siarkowodoru, mieszczącego się zawsze w drobnych ilościach w powietrzu zamkniętych, nieprzewietrzanych izb. Gospodynie miewają kłopot z czyszczeniem takiego srebra. Otóż najłatwiej czyści się ono za pomocą amoniaku. Macza się w amoniaku szmatkę i wyciera nią zczerniałe srebro. Łatwo wraca ono pod amoniakiem do pierwotnego białego połysku, gdyż amoniak rozpuszcza cieniuchną warstwę czarnego siarku srebra, a metalu czystego nie narusza.

Dodatek Humorystyczny.

Dwie drogi.

Widzisz, o pani, jakaś ty pusta!
Gdy ja ci wszystko oddaję w dani,
To ty kapryśnie sznurujesz usta
I główką kręcisz, niedobra pani!...
Nie w smak ci moje miłosne słowa,
I nie do gustu — moje ofiary!
Czyż łysa moja z hulanek głowa?
Czyż jestem stary?...

Ja tobie mówię, że nasze gwiazdy
Tak cudnie świecą nad naszą glebą,
A ty -- szalona! — koniecznie jazdy
Żądasz odemnie — pod włoskie niebo!
I kiedy ja chcę w tobie — żoneczkę
Widzieć przy rondlu oraz przy balii,
Ty mi powiadasz, że choć troszeczkę
Chcesz być -- w Italii!...

Ja ci tlumaczę, że kto, gdy kocha,
To szczęśliw nawet z ubogiej chaty,
A tobie w główce, o pani płocha,
Świta buduar, salon bogaty...
I kiedy ja chcę mieszkać wysoko,
Byle być z tobą bez czasu straty,
Ty pragniesz mebli w stylu *rococo*,
Choćby — na raty!

Ja tobie mówię, że szych — nie złoto,
I że nietylko chlebem żyć trzeba;
Że dusza ludzka karmi się oto
Ideałami, uśmiechem Feba!
A ty zaś, drobną swą tupiąc nóżką
Mówisz, że żyć tak — to nie ma szansy,
I chcesz francuzkie, o moja duszko,
Czytać romansy!

Ja ci powiadam,że człowiek życie
Powinien czerpać przeważnie z siebie,
Że ci, co kąpią się w dusz swych świcie
Błogosławieni będą na niebie!
A ty powiadasz: — Niema, jak gumy,
Loża w teatrze, z gabinetami! —
I podziwianą chcesz być przez tłumy!...
Ach, to cię mami!...

Ja cię zapewniam, że skromna szata
Jest miłą Bogu, miłą dla ludzi,
Że tylko ludzka dusza bogata
Wpośród potomnych zachwyty budzi!
A ty mi na to: — Ja chcę mieć broszę
Z samych brylantów, dyademów cztery,
I taki łańcuch kupić mi, proszę,
Jak — Cavalieri!...

Wreszcie — wędrownych masz zwyczaj ptaków,
I nigdzie miejsca zagrzać nie możesz...
Pełno przy tobie podróżnych saków,
Celem twym — użyć, chociaż nie orzesz!...

Próżno ci mówię, że wszędzie mile,
Ale najmilej jest w własnym domu!
Ty — nad Bosforem chcesz posiąść wille,
Zamki — wśród złomu...

Więc mnie przeraża takie zachcenie,
Bo go wykonać zgoła nie mogę...
Tobie Rotszylda potrzebne mienie...
Pójdziemy tedy — w przeciwną drogę!
Co ze mną będzie? Wszystko mi jedno!
Choć ciało więdnie, duch nie umiera...
A ty — gdy nie chcesz pozostać biedną,
Wyjdź — za bankiera!...

Dowcip Rossiniego.

Słynny a niedawno zmarły Luigi Arditi, muzyk i autor tak popularnego utworu „Il baccio" (pocałunek), ożeniony był z prześliczną Amerykanką, miss Warwich z Richmondu. Kiedy Rossini ją zobaczył, śmiejąc się zawołał: Aha, rozumiem teraz, dla czego mąż pani skomponował swój sławny „Il Baccio."

Niewłaściwe współczucie.

Dobroczynna pani, zwiedzająca więzienie, do więźnia, który ją zapewniał o swej niewinności:

— Nieszczęśliwy człowieku! Ale też będziesz rad, jak odsiedzisz karę!... nie prawda?

— O, nie, proszę pani... przecież jestem skazany na więzienie dożywotnie.

Pewny siebie.

Doktor. No, jakże wczorajsze lekarstwo? Lepiej, co?

Chory. Daleko lepiej.

Doktór. Byłem przekonany, że to lekarstwo pomoże.

Chory. Tak... ale ja pańskiej recepty nie posłałem do apteki.

Doktor. To jeszcze lepiej, panu pomogła sama moja recepta — bez lekarstwa!

Między przyjaciółkami.

— Przekonałam się Maniu, że nie można nigdy wierzyć mężczyznom...

— No, nie zawsze, moja droga.

— O, nie zaprzeczaj!... Mam na to wiele dowodów.

— Naprzykład?

— Naprzykład — Karol. Obiecał uroczyście, że nikomu nigdy nie powie, żem mu się pozwoliła pocałować, a tymczasem w godzinę już wszystkim rozpaplał!...

Po śmierci męża.

— Pani Zofio, niech się pani uspokoi!... Trudno, rozpacz nie pomoże!

— Ach, drogi przyjacielu... Jabym i pana tak opłakiwała dziś, gdyby pięć lat temu był więcej śmiały!

Różne objawy.

— W tym nowym kapeluszu twarz pani jakby się trochę skróciła.

— Tak, ale zato memu mężowi na widok rachunku za ten kapelusz, twarz się mocno przedłużyła.

Nasze dzieci.

— Cóż, Waciu, chciałbyś być pewnie dyrektorem, jak twój wuj? Tyle ludzi go słucha!

— Eee, ja bym tam wolał być mamą, bo mamy musi słuchać i tatuś, i wuj, i ja, i wszyscy.

W dzisiejszych czasach.

Można kochać platonicznie
Panny i mężatki,
Chociaż to w dzisiejszych czasach
Wypadek dość rzadki.

Lecz nie wierzę w to stanowczo,
(W czem pewno nie błądzę),
By kto kochać platonicznie
Mógł dzisiaj.... pieniądze...

Z ulicy.

Ucieka przechodzień
Na bok, ile siły!
Bo w nos go uderza
Zapaszek niemiły,
Zapaszek, co dusi,
Zamęt czyniąc w głowie.
Mowa to o jakimś
Wiejskim chyba rowie?...
Nie! to tak prowadzi
Przechodniów do szału
Wylot od każdego
Miejskiego kanału!...

Dział powieściowy.

Przedruk wzbroniony.

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

17)

(Ciąg dalszy.)

— Ale ja nie mogę, — wyrzekła Hanusia, — nie mogę się oprzeć — nie czuję już krwi w żyłach — ach, spać, spać...

Wtedy Teresa zaczęła ją trzeźwić, wzięła jej ręce i usunęła się tak, że Hanusia nie mogąc oprzeć głowy na jej ramieniu, musiała siedzieć prosto i uważać, aby z sani nie wypadła. Potem opowiadała jej wesołe zdarzenia z życia na scenie, żartowała, pytała o Franciszka i tak ją rozruszała, że o spaniu mowy już nie było.

O godzinie trzeciej w nocy zaczęły się nagle konie, które co chwilę odpoczywały, rzucać i strzydz uszami.

— Co to znaczy? — zapytała Teresa. — Co im się stało?

— Musiały zobaczyć coś, co je przestraszyło, — odrzekł szynkarz. — Albo może przeczuwają instynktem bliskość ludzi!

— Ach, jakieby to dla nas było szczęście! Już sama obecność człowieka dodała by nam odwagi! I może pokazałby nam drogę do Horki!

Konie szły, stawały, i szły znowu, ale raz po raz zwracały głowy na prawo i dreszcz przebiegł ich członki.

Teresie zdawało się, że jadą ciągle w koło, że poznaje te miejsca, którędy już kilka razy przejeżdżali.

Nagle zerwały się konie i z szaloną prędkością popędziły naprzód.

— Boże! — krzyknął szynkarz, — co się dzieje? Jakieś okropne niebezpieczeństwo grozi nam zapewne!

I w tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na jego słowa, odezwało się tuż za nimi ochrypłe szczekanie i przeciągłe wycie — straszne — przerażające.....

Szynkarz zerwał się i zaczął nielitościwie bić konie batem. Ale nie byłby wcale potrzebował męczyć ich tak bardzo — zwierzęta rozszalałe strachem, pędziły na wyścigi z wichrem, tak, że kopyta ich ledwie śniegu dotykały.

Szczekanie i wycie zbliżało się coraz bardziej.

— Ile tu psów, — zawołała Teresa. — To dobry znak, bo gdzie psy tam i ludzie niedaleko! Może to jakie polowanie!

— Ach pani! — krzyknął szynkarz, — to nie psy — to wilki! Rozszarpią nas — Boże —

Teresa i Hanusia krzyknęły przeraźliwie i padły sobie w objęcia.

— Jesteśmy zgubione, — szepnęły.

A wilki zbliżały się — już można było widzieć ich błyszczące oczy i wyciągnięte języki. Wilki tatrzańskie są najdziksze i najżarłoczniejsze z wszystkich gatunków wilczych, rzucają się bowiem na ludzi, chociaż są syte, podczas kiedy inne napadają ludzi wtenczas tylko, gdy są głodne.

A cóż dopiero, gdy ziemia śniegiem pokryta, gdy wilki żadnego pożywienia nie mają i zamieniają się z głodu po prostu w żywe szkielety! Wtedy dzikość ich dochodzi do najwyższego stopnia i biada każdemu żyjącemu stworzeniu, które wilk napotka! O ratunku nie ma tam wtenczas mowy!

Bo z jednym takim okrutnikiem możnaby sobie jeszcze dać radę, ale ukazują się one zawsze w liczniejszej gromadzie i są niezwyciężone.

Wilki ścigające sanie, strasznie były głodne, a otwarte ich paszcze zionęły żądzą krwi.

Były już tak blizko, że Teresa i Hanusia widziały ich ślepie iskrzące i słyszały ich oddech sk—

— Prędko, na Boga! — krzyknęła Teresa, — popędzajcie konie! To jedyny nasz ratunek!

— One długo nie wytrzymają! — jęknął szynkarz. — Zanadto zmęczone. Ale podaj mi pani flintę. —

Teresa podniosła broń i podała mu ją.

— Weź pani lejce. — —

Szynkarz owinął je koło Teresy, wziął flintę i zaczął mierzyć.

— Niech konie pędzą gdzie chcą, — zawołał jeszcze — Proś pani Boga, abym jednego chociaż wilka zabił. Reszta rzuci się na niego, a my będziemy mieli kilka minut zysku!

Teraz padł strzał jeden i drugi i dwa wilki tarzały się we krwi. Tak jak szynkarz mówił — rzuciły się inne wilki na zabite i pożerały chciwie swoich towarzyszów. Konie tymczasem pędziły dalej i odległość pomiędzy saniami a wilkami znacznie się zwiększyła.

Ale nie długo to trwało. Zwierzęta, podrażnione krwią, rzuciły się teraz z podwójną chciwością za uciekającymi i dogoniły ich wkrótce. Szynkarz nabił flintę i strzelił znowu, ale tym razem chybił.

Wilki zawyły, jak gdyby z radości.

Teresa trzymała zawsze jeszcze lejce, szynkarz zaś porwał bat i bił nim najbliższych wilków. Innej broni nie miał już teraz.

Na niebie tymczasem zaczęło się rozjaśniać, ciemność nocy ustępowała jutrzence.

A tam — kończył się las!

Teresa krzyknęła z radości. Miała nadzieję, że skoro wyjadą na pole, to wilki przestaną ich ścigać — bo to tchórzliwe bestye, które napadają ofiary swe wtenczas tylko, gdy czują się bezpieczne.

Rzadko kiedy zbliża się wilk do mieszkań ludzkich.

— Dalej, dalej! krzyczała Teresa, popuszczając trochę cugli. — Jeszcze tylko kilka minut — chodzi tu także o wasze życie, biedne konie!

Szynkarz chciał jeszcze raz nabić flintę, ale wilki nie pozwoliły mu na to.

Biegły one po obydwóch stronach sanek, i rzucały się na siedzenia, chcąc szynkarza ściągnąć na ziemię. Jeden z wilków wyrwał mu już nawet kawał rękawa. Nieszczęśliwy człowiek bronił się jak mógł, uderzając kolbą flinty głowy napastników, ale czuł, że siły zaczynają go opuszczać.

— Zginiemy! — szepnął.

— Wytrwaj jeszcze chwilę, — prosiła Teresa, — las kończy się — jeszcze kilka minut, patrz, tam jasno zupełnie.....

Hanusia siedziała z założonemi rękami i modliła się.

Konie zaczynały ustawać w biegu. Nadmierne wytężenie sił tak je wyczerpało, że chociaż czuły dobrze, że chodzi o ich życie, to jednak dłużej biedz nie mogły.

I teraz wspięły się — i — stanęły.

Równocześnie krzyknęła Teresa przeraźliwie, a cugle z rąk jej wypadły.

— *Zginęliśmy! — zawołała, ukrywając twarz w dłoniach, — przed nami okropna przepaść, za nami wilki — Boże, zmiłuj się nad nami!*

Położenie ich było rzeczywiście rozpaczliwe.

Konie stały drżące, z nozdrzy ich buchała para a ciała trzęsły się gwałtownie. Stały z spuszczonemi głowami, jak gdyby oczekiwały z poddaniem się śmiertelnego ciosu.

Teresa schwyciła Hanusię w objęcia.

— Umrzemy razem, — rzekła cicho.

Szynkarz bił ciągle wilków, ale wiedział, że długo nie będzie się mógł opierać. Wilki szarpały go na wszystkie strony, i gdyby nie gruby kożuch, jaki miał na sobie, byłyby go dawno już pokaleczyły swemi okropnemi kłami.

Teraz rozpoczął się ostatni akt krwawego dramatu.

Wilków było nie wiele, mniej więcej dwadzieścia. Cztery albo pięć rzuciły się na szynkarza, który krzycząc w niebogłosy, kopał je nogami i tłukł flintą, reszta zaś wpadła na konie i powaliła jednego z nich na ziemię. Drugi bronił się kopytami, przyczem uderzył dwóch wilków tak silnie w głowę, że zabił je na miejscu.

Ale najgorzej działo się w saniach. Ogromny, stary wilk wspiął się przedniemi łapami na sanie i z otwartą paszczą chciał się rzucić na Hanusię. Wtedy schwyciła go Teresa obydwoma rękami za szyję, ale wilk był mocniejszy. Całem swojem długiem, chudem cielskiem wciągnął się na siedzenie, wyszczerzył spiczaste kły i.....

Teresa Bogu poleciła duszę, zamykając oczy.

Nie chciała patrzeć na tego potwora, który za chwilę rozszarpie ją i krew jej wypije.

Już czuła na twarzy gorący oddech bestyi, już ostre pazury wpiły się w jej szyję, gdy nagle —

Tuż koło niej padł strzał, i wilk stoczył się nieżywy z sanek.

W następnej chwili rozległ się drugi strzał, i obronił szynkarza z zębów wilka, i teraz strzelano ciągle, ze wszystkich stron, a wilki padały martwe jeden obok drugiego. Wszystko to nie trwało ani nawet pół minuty, i podróżni byli ocaleni.

Ale kto był wybawcą?

Kto zastrzelił wilka, grożącego Teresie rozszarpaniem?

Musiał to być znakomity strzelec, który się na taki strzał odważył.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Tajemniczy wybawiciel.

W tej samej chwili ukazał się pomiędzy drzewami jeździec na karym koniu, a za nim w pewnej odległości kilkunastu pieszych uzbrojonych mężczyzn.

Jeździec był widocznie młody, chociaż twarzy jego dojrzeć nie było można, bo czarna ją maska zupełnie zakrywała, ale postać i ruchy zdradzały wiek młody. W ręku trzymał dymiącą się jeszcze fuzją, co dowodziło, że jemu głównie zawdzięczali podróżni ocalenie.

Teraz zbliżył się szybko do sani i rozpatrzył całe położenie rzeczy.

Gdy ujrzał zastrzelone wilki, uśmiechnął się zadowolony.

Teresa pierwsza odzyskała przytomność. Podczas kiedy Hanusia leżała zemdlona na siedzeniu, wyskoczyła ona z sani i z złożonemi rękami stanęła przed jeźdźcem.

— Niech Bóg panu wynagrodzi to, coś dla nas uczynił, — zawołała.

Ale młody jeździec nie słyszał co mówiła. Na widok Teresy stanął on jak skamieniały, jak gdyby cała krew zbiegła mu do serca. Tylko czarne oczy jego wpatrywały się w jej twarz z niezmierną miłością a zarazem takim smutkiem i żalem, jak gdyby tracił to, co miał najdroższego na świecie!

— Ocaliłeś pan nas od okropnej śmierci, — mówiła Teresa dalej, — gdyby nie pan, leżelibyśmy tam już wszyscy, poszarpani przez te straszne zwierzęta! Jak okazać ci naszą wdzięczność, nasze.....

— Pani! — szepnął szynkarz, pociągając ją za suknią, — czy nie wiesz, do kogo mówisz? Nie wiesz, kto nas uratował?

— Jakiś szlachetny człowiek, — odrzekła.

— Ach nie, on gorszy, niż wilki, uratował nas po to, aby potem zabić, to jest dowódzca opryszków tatrzańskich!

Teresa zadrżała, ale nie z strachu.

Dziwna rzecz, ona się tego osławionego rozbójnika nie lękała! —

Bandyta tymczasem patrzał ciągle jeszcze na nią, i milczał.

I przycisnął nawet jeszcze mocniej swoją czarną maskę do twarzy, jak gdyby się obawiał, że mu spadnąć może. Teraz i Teresa spojrzała z zajęciem na milczącego rozbójnika, o którym tyle złego w Wiedniu, a tyle dobrego tutaj słyszała. To był ten sam człowiek, który napadał bogatych, zabierał im co mógł, i który nigdy biednego nie skrzywdził, i zawsze jeszcze nieszczęśliwych wspierał!

Nie musiał to być czowiek zły z charakteru, przeciwnie, postępowanie jego odznaczało się wspaniałomyślnością i dobrocią charakteru!

Może on dużo w życiu przecierpiał, może znienawidził ludzi, z sercem przepełnionem goryczą, rzucił się w wir występków, nie mogąc zupełnie zatrzeć wrodzonej sobie szlachetności!

Bo nikt się złym nie urodzi — życie dopiero wytwarza w człowieku zły lub dobry charakter.

Wszystko to myślała Teresa, patrząc na milczącego rozbójnika.

Czemu widok jego tak dziwnie ją wzruszył, czemu serce jej biło tak gwałtownie, czemu dawne wspomnienia szczęścia zbudziły się nagle w jej duszy!

Na to pytanie nie umiała sobie odpowiedzieć, zdawało jej się przecież, że do tego niebezpiecznego opryszka ciągnie ją jakaś niewidzialna siła!

Nie mogła nim gardzić tak, jak może występkami swemi na to zasługiwał, a teraz była mu nadto niezmiernie wdzięczną za wybawienie jej od pewnej i okropnej śmierci! Ale czy szynkarz Balecki miał słuszność, mówiąc, że on na to ich ocalił, aby potem zabić?

Nie, nie, to nie mogło być prawdą. Jakiś głos wewnętrzny szeptał jej:

— Nie bój się niczego, on wam nic złego nie zrobi.

Jeździec siedział zawsze jeszcze nieporuszony na koniu i ani jednego dotąd nie przemówił słowa.

Balecki zajął się teraz trzeźwieniem Hanusi, Teresa zaś, zebrawszy całą swoją odwagę zbliżyła się do rozbójnika.

— My wszyscy tu zawdzięczamy ci życie, — rzekła z głębokiem uczuciem wdzięczności, — powiedz, w jaki sposób podziękować ci za to? Chcesz pieniędzy? zapłacę ci — oddam ci wszystko, co mam. Otóż tu moja torebka — weź ją, weź, daję ci ją chętnie!

Opryszek jednak nie wziął torebki, tylko zwrócił konia tak, jak gdyby zamierzał uciekać.

— Gardzisz memi pieniędzmi, — rzekła Teresa drżącym głosem, — więc powiedz, czego chcesz? Nie mogę ci podziękować inaczej, jak złotem lub słowami!

I znów podała mu torebkę.

Ale jeździec odepchnął ją gwałtownie.

— Dzięki Bogu, — zawołała Teresa — nie jesteś chciwym, jesteś raczej dumny, a zatem nie możesz być tym, za którego cię nasz towarzysz uważa! Powiedz, kto jesteś? Przecież nie owym bandytą.....

W tejże chwili zeskoczył jeździec z konia, wyciągnął sztylet z za pasa i wielkiemi literami wypisał na śniegu te słowa:

— Ja jestem dowódzcą rozbójników tatrzańskich. —

Teresa cofnęła się przerażona i mimowoli krzyknęła.

Ale zaraz potem gniewała się sama na siebie, przecież nie miała żadnego powodu do lękania się! Może on rabował i zabijał innych, może był zbrodniarzem, jej dotąd żadnej niewyrządził krzywdy.

Jeździec oparł teraz głowę o siodło i wpatrywał się nieustannie w Teresę.

— Czy jesteś rozbójnikiem, czy nie, — rzekła teraz młoda dziewczyna, — to wdzięczność moja pozostaje ta sama. Wymień mi jednak twoje nazwisko, może zobaczymy się kiedyś w innych warunkach.....

Opryszek wziął znowu sztylet i napisał na śniegu:

— Nie mam nazwiska. —

Balecki nabrał też teraz odwagi.

Jeżeli dowódzca bandytów był taki łagodny, to można go było zapytać o drogę.

— Wybacz pan, — rzekł z największą uprzejmością, — że śmiem trudzić mojem pytaniem. Ale chciałbym wiedzieć, jak się ztąd jedzie do Horki, na stacyą celną? Zabłądziliśmy w górach, i zamiast do Horki, zawiozłem te panie do lasu, gdzie nas wilki napadły.

Jeździec wyciągnął rękę i wskazał kierunek drogi, potem wyrysował sztyletem na śniegu najpierw prostą długą linją, następnie krótszą na lewo, i napisał:

— Horka — stacya celna.

— Jak długo pojedziemy jeszcze? — pytał Balecki dalej.

Opryszek podniósł dwa palce, co miało znaczyć dwie godziny.

I nieczekając już dalszych pytań, wskoczył na konia i wsunął sztylet za pas.

Na ręce włożył futrzane rękawiczki.

— Dziękujemy ci raz jeszcze, — zawołała Teresa, — za ocalenie życia i za wskazanie nam drogi. Tym sposobem

będziemy w przeciągu dwóch godzin pomiędzy ludźmi! Niech ci Bóg za to zapłaci!

Jeździec przechylił się nieco, Teresa zaś ulegając popędowi serca, wyciągnęła do niego rękę.

Opryszek chciał już ująć tę dłoń białą i miękką, nagle jednak cofnął się, jak gdyby nie czuł się godnym tego zaszczytu lub — szczęścia. —

— Czemu mi nie podajesz ręki? — spytała Teresa żywo. Ja chętnie uścisnę dłoń twoją, bo wiem, że masz szlachetne i dobre serce! Ach, gdybym mogła wskazać ci dobrą drogę, tak, jak ty nam ją wskazałeś!

Jakże czułabym się szczęśliwą! Poszukaj sobie serca, które by cię rozumiało i kochało, — miłość — to zbawienie!

Jeździec zadrżał gwałtownie, spiął konia ostrogami i rzucając ostatnie jeszcze spojrzenie na śliczną twarz młodej dziewczyny, zniknął pomiędzy drzewami.

Za nim poszli jego ludzie i w przeciągu kilku sekund byli podróżni znowu sami.

Ale teraz nie potrzebowali się już niczego obawiać.

Wilki były zastrzelone, opryszki już ich nie napadną, dzień zaczynał się zwolna wyjaśniać i nawet wiatr uciszył się zupełnie.

Balecki odprzągł na pół rozszarpanego konia, dał owsa temu, który pozostał i wcale nawet ranionym nie był, i teraz znów w dalszą puścili się drogę.

Hanusia odzyskała wnet zwykłą swoją swobodę.

— Więc to był ten sławny dowódzca bandytów! — Nikt nam nie uwierzy, że widziałyśmy go i że nas nie obrabował!

— Nie wiem, — odrzekła Teresa, — kto on jest, ale jestem przekonaną, że to jakiś nieszczęśliwy, człowiek, który czyni ludziom wiele złego, a którego serce jest jednak dobrem! Nie każdego należy potępiać, powinno się raczej szukać zawsze źródła, z którego pochodzą grzechy i występki człowieka. Ale tego nikt nie robi, niestety! Niejednego zaś możnaby jeszcze namówić na drogę cnoty!

— Niech tam już będzie jak chce, — zawołał szynkarz Balecki, — ja tylko wiem tyle, że jak mi kto jeszcze raz powie, że dowódzca rozbójników złym jest człowiekiem, temu powiem, że kłamie! Stał on tam, jak prawdziwy wielki pan, chociaż ani jednego nie wymówił słowa? Ale taki jak on nie potrzebuje mówić, aby pokazać, kim jest i czego chce! Żebym nie był wiedział, że to ten rozbójnik, to byłbym myślał, że jaki książę!

— Tak, to prawda, — odezwała się Hanusia, — ruchy jego są wytworne, wcale nie takie, jakby się tego po takim bandycie można spodziewać! Ale cóż to, czemu płaczesz, Tereso? Co ci jest najdroższa?

— Ja nie wiem! Widok tego rozbójnika wzruszył mnie dziwnie! Pozwól mi płakać!

I mimowoli wytężała wzrok, czy nie ujrzy gdzie — chociaż wdali, jeźdźca na karym koniu!

Ale na białem polu nie było nic widać.

Dalszą podróż odbywały obie przyjaciółki w głębokiem milczeniu.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Człowiek powinien być dobrym, szlachetnym i uczynnym.

Koń Baleckiego ledwie już szedł, to też podróż do Horki nie dwie, ale blizko cztery trwała godziny.

Około siódmej rano stanęli podróżni nareszcie w jakiejś wsi.

— Czy to Horka? — spytała drżącym głosem Teresa.

— Nie, ta wieś należy do hrabiego Dernburga, — odrzekł szynkarz. — Dobry to pan, troszczy się o swoich ludzi. Płaci hojnie za robotę i daje im nawet pewien procent od dochodów. To też wszyscy pracują chętnie dla takiego pana! Założył szkoły dla dzieci, wybudował dom dla chorych i wspiera każdego, kto pomocy jego potrzebuje!

— Musi to rzeczywiście być szlachetny człowiek, — zawołała Teresa. — Chciałabym go chętnie poznać!

Sanie wjechały teraz w głąb wsi, wzorowo porządnej. Domki ładne, otoczone ogródkami, obok nich stajnie, obory i chlewy — wszystko jaśniało czystością i zdradzało pewną zamożność. Dzieci szły właśnie do szkoły i miło było spojrzeć na ich ładne, rumiane twarzyczki i porządne ubrania.

W środku wsi stał kościół z wysoką wieżą, w której znajdował się piękny zegar, prawdziwe arcydzieło.

— Zkąd się ten wspaniały zegar t[illegible] wziął? — zawołała Hanusia zdumiona.

— Pan hrabia przywiózł go z Paryża, — odrzek szynkarz. — Ale radzibym paniom szczerze, abyście sobi obejrzały kopalnie hrabiego. Nie jest to nic niebezpieczne go. Górnicy zawiozą panie na wózku aż na dół i pokaż dużo bardzo pięknych i ciekawych rzeczy, o których ludzie mieszkający na ziemi, nie mają wyobrażenia. Skarby po dziemne są niewyczerpane. Z dalekich stron zjeżdżają si ludzie, aby to oglądać, mianowicie jezioro podziemne.

— Musimy sobie tę rzecz rozważyć, — rzekła Teresa. — Przedewszystkiem jednak zajedźmy do jakiej karczmy nam i koniowi należy się doprawdy wypoczynek!

— Oj, to prawda! Na stacyi celnej nie można ani ko nia popasać, tam tylko są dwa domy mieszkalne!

Kilka minut później stanęły sanie przed karczmą, także bardzo porządną, i karczmarka wybiegła powitać go ści z uprzejmem pozdrowieniem.

Dla Teresy i Hanusi przygotowała zaraz dwa ładne pokoiki na górze i Balecki także otrzymał to, czego żądał dl siebie i konia.

Obie dziewczyny upadały formalnie z zmęczenia.

— Długo już panie jedziecie? — zapytała karczmar ka z współczuciem.

— Od wczoraj rana!

— Boże! To panie przepędziłyście noc w saniach! Ależ to okropne!

— Tak, to było okropne! Najpierw napadały nas wil ki, i bylibyśmy wszyscy straszną zginęli śmiercią, gyby ni pewien dzielny obrońca, który nam życie uratował!

— Kto to był? Może nasz pan nauczyciel. Bo ja się tylko lekcje skończą, to on zaraz bierze flintę i dalej d lasu!

— Wątpię, czy to był nauczyciel tutejszy. Nasz obroń ca jechał konno, i miał czarną maskę na twarzy!

— Jezus Marja! — krzyknęła karczmarka. — To on miał maskę na twarzy? W takim razie był to dowódzc opryszków tatrzańskich! I panie żyjecie jeszcze!

— Jak widzicie! On nam nic złego nie zrobił!

— I nawet pieniędzy paniom nie zabrał?

— Nie! A teraz przygotujcie nam dobre śniadanie bo umieramy z głodu!

Hanusia siedziała już przy kominku i skostniałe roz grzewała członki. Teresa przysunęła sobie krzesło takż do ognia, i w tym ciepłym, zacisznym pokoiku zapomniały obie wnet o doznanych cierpieniach i niebezpieczeństwach Z niecierpliwością tylko oczekiwały śniadania.

Szynkarz Balecki tymczasem stał w pokoju na dole i rozgrzewał się również przed ogromnym piecem. Koń sta w ciepłej stajni — biedne to zwierzę było na pół nieżywe.

Nie trwało długo, a śniadanie było gotowe i karczmar ka zaprosiła na dół Teresę i Hanusię. Na życzenie Teresy musiał Balecki usiąść przy jednym stole, poczciwy te człowiek zasługiwał rzeczywiście na wdzięczność obydwóch przyjaciółek.

Gdy się nieco posilili, wyjęła Teresa torebkę z pie niędzmi i rzekła:

— Muszę wam teraz zapłacić, mój przyjacielu! Oto tu umówione sto guldenów, trzysta guldenów liczę za koni a sto za wasz rozszarpany kożuch. Wynosi to razem pięćs guldenów. Czy myślicie, że właściciel konia zadowolni si trzystu guldenami?

— Ach, pani, ten koń był najwyżej dwieście wart. ja też nie mogę przyjąć tyle...

— Ja się targować nie lubię — przerwała Teres z uśmiechem i podała mu pieniądze.

Balecki wziął je ze łzami w oczach i schował do kie szeni.

— Jak się ucieszą moja żona — szepnął — i moje dzie ci! Jest to suma, jakiej nie prędko się w domu dorobi można! Pani doprawdy jesteś aniołem!

Teresa chciała mu odpowiedzieć, że największą dl niej przyjemnością jest sprawić innym radość, gdy nagl dały się we wsi słyszeć głośne krzyki i wołania o pomoc.

— Boże Wielki — krzyknęła karczmarka, biegnąc d okna. — Co się to stało! Ile tam ludzi — wszyscy krzyczą ach, pewne nieszczęście jakie....

W tejże chwili przebiegło kilku wieśniaków koł karczmy.

— Na miłość Boską, co się dzieje ?— wołała kar marka.

Ale wieśniacy znikli już, żadnej nie dając jej odpowiedzi.

Teresa zerwała się także — że nieszczęście jakieś się stało, to żadnej nie ulegało wątpliwości.

Na drodze znajdowało się mnóstwo ludzi — mężczyzni, kobiety, dzieci, wszystko co żyło wybiegło z domów. Jedni krzyczeli i załamywali ręce, inni biegli z szpadlami i drągami, kobiety płakały — jednem słowem zamieszanie było okropne.

— Czy mi nikt nie odpowie? — zawołała karczmarka. — Wszyscy biegną i krzyczą, jak gdyby rozum stracili — ach — pewnie się w kopalni stało coś —może jaka eksplozja.... O, nareszcie pan nauczyciel! Panie — krzyknęła, wychylając się z okna, — co się tam dzieje?

Młody, wysmukły mężczyzna zbliżył się do okna. On także chciał biegnąć dalej, ale na wołanie karczmarki zatrzymał się na chwilę.

Teresa spojrzała na niego i zdumiała. Nie często zdarzało się widzieć twarzy tak pięknej i szlachetnej, ale obecnie wyrażała twarz jego okropne przerażenie.

— Panie Bolski! Powiedz że nam, co się stało? — zawołała znowu karczmarka.

— Ach, nie pytajcie lepiej wcale — odrzekł młodzieniec, spoglądając na Teresę — muszę spieszyć do kopalni. Stało się tam wielkie nieszczęście!

— Pewnie jaka eksplozya!

— Nic jeszcze nie wiemy. Musiało się to stać w nocy, inaczej bylibyśmy słyszeli huk wybuchu. Ale najgorsze jest to, że hrabiego w zamku nie ma i należy przypuszczać, że w kopalni się znajduje, chociaż nikt nie ma pojęcia o tem, co go spowodowało do odwiedzenia kopalni o tak niezwykłej porze!

Karczmarka załamała ręce.

— Hrabia ma być w kopalni! — zawołała, — A tam eksplozya! O Boże,, zmiłuj się nad naszym kochanym panem!

— Musimy ratować, — rzekł Bolski. — Kilkunastu górników powinno zjechać na dół, nie wiem tylko, czy się dosyć odważnych znajdzie. Ja w każdym razie przyłączyłbym się do nich!

I pobiegł dalej.

Teraz odezwały się dzwony kościelne, co jeszcze się więcej przyczyniło do ogólnego zamieszania.

— Dzwonią! — rzekła karczmarka, — to już zawsze zły znak! Wzywają tam wszystkich górników — każdy ma się przygotować do spieszenia na pomoc. Patrzcie panie, jak się schodzą, ze wszystkich stron! Gdy się w kopalni stało jakie nieszczęście, był hrabia zawsze najpierwszy, który spieszył na ratunek, z siekierą i motyką w ręku.

Karczmarka zamknęła okno.

— Nie wytrzymam tu, — rzekła, — muszę iść razem z drugimi. Wybaczcie panie, że was same zostawiam, jestem tak niespokojna, że nie mogłabym tu siedzieć.

I nie czekając na odpowiedź, zdjęła szal z gwoździa i pobiega ku drzwiom.

— Czekajcie, — zawołała Teresa, zrywając się szybko, — ja pójdę z wami! Gdy chodzi o uratowanie szlachetnego człowieka, to nigdy nie ma za wiele rąk do tego!

— Jaka pani dobra! — odrzekła karczmarka. — Pójdź pani zemną, ale ubierz się ciepło, bo straszny mróz dzisiaj!

— Ty zaś Hanusiu, — zwróciła się Teresa do swej przyjaciółki, — zostaniesz tutaj. Wypocznij sobie dobrze po wzruszeniach tej nocy!

Potem wzięła swoje futro, zarzuciła tak jak karczmarka chustkę na głowę, i obie wyszły na drogę, wiodącą do kopalni. Mało tu było ludzi, wszyscy bowiem znajdowali się już przed wejściem do sztolni.

Obie kobiety szły prędko, chcąc się jaknajspieszniej czegoś dowiedzieć, ale gdy stanęły na miejscu nie mógł im nikt jeszcze powiedzieć, jak rzeczy stoją. Górnicy stali w szerokim łuku przy wejściu do kopalni, nikt jednak nie odważał się z chęcią udania się na dół.

Czy hrabia znajdował się rzeczywiście w kopalni? W jaki sposób dowiedziano się o tem? Co on miał tam w nocy do czynienia? Jakim sposobem dostał się na dół, jeżeli wszystkie machiny stały?

Takie pytania dawano sobie nawzajem a nikt nie mógł na nie odpowiedzieć!

Przedewszystkiem jednak chodziło o to, czy hrabia żyje jeszcze. Czy nie słyszał kto jego głosu, czy gazy nie zabiły go na miejscu, czy zdołał ukryć się tak, że trujące wyziewy nie doszły do niego!

Karczmarka i Teresa zbliżyły się także do wejścia do kopalni.

Górnicy naradzali się, w jaki sposób ratować hrabiego, kilku z nich zaś mówiło głośno, z wielką pewnością siebie, a chociaż ubrani byli tak, jak wszyscy inni, to zaraz jednak można było poznać, że to byli urzędnicy.

— Kto są ci panowie? — zapytała Teresa swej towarzyszki.

— Ten wysoki blondyn, — odrzekła karczmarka, — jest pan Brokesz, dzielny człowiek, który właściwie jest dyrektorem kopalni, ten zaś, który stoi obok niego, to inżynier Dekken, rozmawia on właśnie z panem Bolskim, ów starzec zaś, to górnik Wilski, którego zawsze wszyscy o radę pytają, bo nikt tak nie zna kopalni, jak on. Jedyny, który może hrabiego ocalić, to on! Pomimo swoich 60 lat jest on zawsze jeszcze raźny i silny, i w nim jest nasza cała nadzieja, że uratuje naszego pana!

Zdaje się jednak, że ci panowie nie mają ani odwagi ani nadziei, — zauważyła Teresa. — Patrzcie, jak długo się już naradzają, sprzeczają, pytają, a nic jeszcze nie uradzili. Teraz ksiądz zbliża się do nich...

— Tak, to nasz ksiądz proboszcz Olkusz, trzydzieści lat mieszka już we wsi. Patrz pani, on płacze! Ach, kochał bardzo hrabiego — był jego nauczycielem....

Proboszcz mówił coś do Prokesza, który milcząc potrząsał ciągle głową, że nie zgadza się z jego zdaniem. Inżynier zdawał się również być innego zdania.

Teresa zbliżyła się do nich tak, że mogła dosłyszeć całą ich rozmowę.

— Więc prawda, — zawołał teraz proboszcz, — że hrabia jest w kopalni? Ależ to niemożliwe! Kto może wiedzieć, że on w nocy spuścił się tam na dół?

— Tak jest niestety, — odrzekł Prokesz, — żadnej to nie ulega wątpliwości. Najpierw brak jednego wózka, który tu wczoraj stał, hrabia więc zapewne na nim zjechał na dół, a tutaj znaleźliśmy srebrną bransoletkę, którą o ile wiem, zawsze hrabia nosił!

— O Boże, tak, to jego bransoletka, której nigdy nie zdejmował! Teraz wierzę już, że on tu był!

— I znaleziono ją zaś nie przy wejściu, tylko dwieście mniej więcej sążni niżej, obok wózka. Oprócz hrabiego znikła też z zamku jego służąca.

Myślisz pan, że ona także znajduje się w kopalni? — zapytał proboszcz zdumiony.

— Nie można właściwie przypuszczać czego innego, tem więcej, że na wózku wyraźnie są ślady dwóch osób!

— Jakto?

— Worek stał tu dosyć długo i gruba na nim była warstwa pyłu. I na tym pyle właśnie widać ślady, naprzykład są dokładnie wyciśnięte dwie ręce, jedna większa druga mniejsza....

— Jest to zagadka, której odgadnąć nie mogę — zawołał nauczyciel Bolski. — Co hrabiego mogło spowodować do tej nocnej wycieczki w kopalnią? — zapytał proboszcz.

— Zdaje się że nad ranem, i to zupełnie niespodziewanie. Wczoraj wszystko było w porządku, górnicy nic nie przeczuwali, nic nie zdradzało tego straszliwego wybuchu. Tłumaczę to sobie tak, że gazy nagromadziły się za jedną z ścian i że niewyjaśniony mi dotąd powód, doprowadził je do eksplodowania. Jakkolwiek bądź, powinniśmy czemprędzej udać się na ratunek hrabiego!

— Zejść musimy koniecznie — zawołał Bolski, — ja jestem gotów towarzyszyć panom, ale możeby ksiądz proboszcz objaśnił zgromadzonych, o co właściwie chodzi. Ludzie zaczynają się niecierpliwić....

— Masz pan słuszność, ja im powiem wszystko, a wy przygotujcie się na tę niebezpieczną podróż w podziemia! I zwracając się do wieśniaków, rzekł proboszcz głośno:

— Moi kochani parafjanie, złą wam dziś nowinę muszę oznajmić! Hrabia Dernburg udał się dziś w nocy do kopalni i tam zaskoczyła go eksplozja gazów trujących!

— Biedny nasz pan! Ratujmy go! Niech go Bóg ma w swej świętej opiece! — wołali wieśniacy.

— Uczynimy wszystko, co możemy, aby go ratować, — mówił proboszcz dalej, — już kilku dzielnych mężów ofiarowało się zejść na dół i szukać go — narażą własne ży-

cie na niebezpieczeństwo, aby ocalić życie hrabiego! Módlmy się szczerze, aby Bóg poszczęścił ich zamiarom!

Zgromadzeni padli na kolana i nigdy pewnie nie modlono się tak gorąco, jak w tej chwili.

Po skończonej modlitwie zwrócił się proboszcz znowu do urzędników.

— Wszystko gotowe? — zawołał.

— Jeszcze nie, tak prędko nie można wszystkiego przygotować — odrzekł inżynier. — Musimy się spuścić windą, wózkiem bowiem nie można dla tego, że ganki zasypane są gruzami!

W tym celu otworzono galerją i przysunięto windę do samego brzegu.

Proboszcz, inżynier Wilski i nauczyciel zbliżyli się do windy.

Twarze ich były blade — wiedzieli oni, co ich spotkać może. Ale chociażby pewni śmierci byli, to żaden z nich nie byłby się cofnął od spełnienia obowiązku.

I już zabierali się do wejścia w windę, gdy nagle proboszcz zawołał:

— Ja pójdę z wami!

— Co, ksiądz proboszcz chce nam towarzyszyć? — krzyknął inżynier. — Nie na to nie możemy się zgodzić!

— A ja jednak pójdę — upierał się ksiądz. — Przecież on był moim uczniem, kocham go jak syna, i miałbym tu zostać bezczynnym, gdy chodzi o jego życie! Nie, nie, ja pójdę z wami!

— Więc z Bogiem naprzód! — zawołał Prokesz. — Albo ocalimy hrabiego, albo umrzemy z nim razem!

Inżynier nacisnął sprężynę i winda zwolna zaczęła się spuszczać w głębinę.

Zgromadzeni górnicy milczeli, nikt nie śmiał słowa przemówić, tak uroczystą była ta chwila.

Wieśniacy zaczęli nabierać otuchy. Wiedzieli oni, że jeżeli ratunek jest możliwym, to tych dzielnych pięciu ludzi uratuje hrabiego, byli oni doświadczeni i przezorni i znali dobrze kopalnią.

Proboszcz był nadzwyczaj odważnym człowiekiem, niebezpieczeństwo nie istniało wcale dla niego, inżynier Dekken zaś, Holenderczyk rodem, znał doskonale wszystkie ganki i z zawiązanemi oczami nie byłby w nich zabłądził. Wilski tak samo znał kopalnią, a w dodatku posiadał, pomimo dosyć podeszłego wieku, niepospolitą siłę.

Ksiądz i nauczyciel, chociaż nie znali się na niczem, to mogli jednak stać się w danym razie pomocnymi — proboszcz modlitwą a Bolski silnemi rękami.

Czemużby więc tych pięciu odważnych mężów nie miało znaleść hrabiego i niemiałoby wrócić z nim szczęśliwie na ziemię!

Serce Teresy uderzało niespokojnie.

Ach, jak ona gorąco modliła się o szczęśliwy powrót hrabiego i tych, którzy go chcieli ratować.

Minuty stawały się wiecznością.

Teresa była tak niespokojną, tak rozdrażnioną, że najchętniej byłaby sama przyłączyła się do tych, którzy w tej chwili znajdowali się głęboko pod ziemią.

Obok niej stał górnik z zegarkiem w ręku i liczył głośno minuty.

— Już trzy — rzekł. — Mogą być na dole, ale nie znaleźli go pewnie!

I znów milczeli wszyscy.

Teresa pochyliła się przez poręcz galerji i patrzała w przepaść spokojnie, bez zawrotu głowy. Nie mogła jednak nic widzieć ani słyszeć.

— Cztery minuty — odezwał się górnik.

Towarzysze jego zaczęli się niepokoić. Cztery minuty w kopalni, to długi przeciąg czasu!

— Pięć minut!

— Boże, zmiłuj się nad nimi, — odezwały się głosy w tłumie.

— Już tak długo są tam i ani znaku życia, — zawołał jeden z górników.

— Nie widać ich jeszcze! Byleby się jakie nowe nieszczęście nie stało!

Teresa znowu się przechyliła i wytężyła słuch.

— Wracają! — krzyknęła nagle — wracają! Słyszę szelest windy!

— Wracają! — powtórzył tłum. — Daj Boże, aby hrabiego mieli z sobą! Otóż są!

Górnicy i wieśniacy krzyczeli, tłoczyli się naprzód, każdy chciał być pierwszy w powitaniu uratowanego.

Winda wznosiła się, już ją widać było i teraz uderzyła o pomost.

Ale cóż to?

W windzie stał obecnie jeden tylko człowiek — i to dyrektor Prokesz.

U stóp jego leżał zemdlały inżynier, Bolski zdawał się także być nieprzytomnym, ksiądz siedział z twarzą ukrytą w dłoniach i nawet stary Wilski opierał się blady śmiertelnie o ścianę windy. Ale zaledwie winda stanęła, odzyskał przytomność i wyszedł o własnej sile.

Górnicy rzucili się naprzód, aby wynieść zemdlonych na świeże powietrze, gdzie też wnet przyszli do siebie i zaczęli opowiadać, co się na dole dzieje.

— Nigdy czegoś podobnego nie widziałem, — rzekł Prokesz. — Spuściliśmy się na 900 sążni i zdawało nam się, żeśmy w tej kopalni nigdy jeszcze nie byli. Eksplozya spowodowała ogromne zmiany pod ziemią, kilka szybów zapadło zupełnie. Musieliśmy przechodzić przez ogromne stosy gruzów i piasku. Byliśmy naturalnie tyle ostrożni, że przywiązaliśmy do windy sznur i trzymaliśmy go, idąc dalej, inaczej nie bylibyśmy trafili z powrotem do wyjścia. Pod przewodnictwem Wilskiego udaliśmy się do tego szybu, który był nietknięty. Ale w tej chwili uderzyły nam trujące gazy prosto w twarz, pan Bolski padł jak piorunem rażony, tak, że musiałem go wziąść na ręce, jak dziecko i nieść dalej. Ksiądz proboszcz i pan Dekken uszli jeszcze kilka kroków i upadli także. Tylko Wilski i ja nie straciliśmy przytomności. Zgasiliśmy czemprędzej lampy, bo inaczej byłyby się gazy zapaliły i nie bylibyście już nas żywych zobaczyli. Trzech z nas było więc już zemdlonych!

— Okropność! — zawołało kilka głosów.

— Najpierw zanieśliśmy pana Bolskiego do windy, potem wróciliśmy na miejsce nieszczęścia, ale ksiądz proboszcz i pan Dekken odzyskali już tyle sił, że wsparci na nas, szli sami do windy.

I tak musieliśmy wrócić — dłuższy pobyt na dole stał się niemożliwym. Tam jest piekło prawdziwe! Hrabia jest zgubiony, nie możemy nic więcej dla niego uczynić, jak modlić się!

— Modlić! — odezwał się nagle jakiś głos nieznajomy. — Wy się modlić chcecie, podczas kiedy wasz pan kończy w podziemiach okropną śmiercią! Tylko odważnym czynem, a nie modlitwą można uratować życie człowieka!

ROZDZIAŁ XXXIX.

Nieznajomy górnik.

Na dźwięk głosu tego obrócił się Prokesz zdumiony, i oczy wszystkich spoczęły na wysokim, silnie zbudowanym mężczyźnie, który w ubraniu górnika zwolna się teraz do wnijścia kopalni zbliżał.

Tak, był on zupenie ubrany tak jak górnik, a jednak nikt go nie znał i nie pamiętał, czy go kiedy gdzieindziej nie widział. Długa siwa broda spadała mu na pierś i zakrywała całą dolną część twarzy, a bujne siwe włosy spadały mu na czoło tak, że tylko oczy, bardzo żywe i bystre, można było widzieć.

Na głowie miał czapkę z napisem — Dernburg — widocznie więc pracował w kopalni hrabiego.

Ale kto to był?

Nikt go nie znał i nikt nie widział, zkąd on tu przyszedł!

W całej okolicy nie było innej kopalni, a chociażby i była, to jakiem prawem miał on czapkę z napisem — Dernburg — Miało to przecież znaczyć, że on do kopalni hrabiego należał! —

Ale imponująca postać nieznajomego wywarła jaknajlepsze wrażenie na zgromadzonych. Nikt nie śmiał go pytać, zkąd pochodzi, i jakiem prawem wtrąca się do sprawy, która jemu właściwie powinna być zupełnie obojętną. Słowa jego że odważnym tylko czynem można ocalić życie człowieka, zjednały mu też od razu całą sympatyą tłumu. można to się długo namyślać, bo chodzi o życie człowieka! Musimy bezwarunkowo zejść jeszcze raz do szybu. simy bezwarunkowo zejść jeszcze raz do szybu!

— Mówicie tak, — odpowiedział Prokesz, — bo nie widzieliście tego, cośmy widzieli! I jeżeli jesteście pewni, że hrabiego można uratować, to czemu nie jesteście w szybie?

— Czy mówiłem że nie zejdę na dół! Uczynię to w tej chwili, ale jeden z was musi iść ze mną, bo może być, że będę potrzebował pomocy. Pójdź pan ze mną, — dodał, zwracając się do Prokesza.

— Nie! byłem tam już raz i drugi raz nie pójdę, — odrzekł Prokesz, wzdrygając się mimowoli. — Mam żonę i dzieci..... Kocham hrabiego — raz naraziłem moje życie dla niego, ale to dosyć!

— Więc mi nikt nie chce pomódz?

— Ja uważam, że grzechem jest poświęcać życie tam, gdzie najmniejszych na powodzenie nie ma widoków!

— W takim razie, — zawołał nieznajomy, — pójdę sam! O mnie nie chodzi. Jeżeli hrabia może być ocalonym to ja go ocalę sam!

I odważny górnik zbliżał się do windy.

Tłum ustępował mu w milczeniu, całe postępowanie nieznajomego budziło podziw i uwielbienie.

— Kto to jest? — pytano się nawzajem.

Ale nikt na to odpowiedzieć nie mógł. Z dalekich stron nie był widocznie, w takim razie nie byłby się zjawił w tej ostatecznej, decydującej chwili. —

Górnicy, ludzie bardzo przesądni, zaczęli go już uważać za istotę nadziemską, bo jak marynarze opowiadają o latających Holendrach i okropnych potworach morskich, tak górnicy mają swoich duchów podziemnych, duchów gór.

Może nieznajomy był takim duchem?

I nagle przestano się pytać o jego nazwisko, i oto, zkąd przyszedł.

Prokesz odwrócił się niechętnie, gdy nieznajomy stanął przy windzie, on uważał go za szalonego, stary Wilski zaś zrobił potajemnie znak krzyża świętego i zmówił prędko krótki pacierz.

Nieznajomy tymczasem zapalił teraz latarkę, przytwierdzoną do pasa, zamknął ją starannie i poluźnił siekierę w pochwie, aby ją łatwiej w danym razie wyciągnąć.

— Po raz ostatni pytam, — zawołał donośnym głosem, — czy nikt z was niechce iść ze mną, aby ratować hrabiego Dernburga? Nie pytałbym o to, gdybym nie potrzebował towarzysza, ale spieszcie się, bo nie można tracić ani jednej minuty!

Nauczyciel Bolski chciał już biegnąć do niego, ale go Wilski zatrzymał.

— Panie nauczycielu, — szepnął, — nie zapominaj pan o zbawieniu twej duszy! Czy nie widzisz, że to szatan kusi nas? Wszakże pięciu z nas zeszło na dół i nie mogliśmy nic uczynić, a ten jeden chce sam hrabiego uratować? Kto z tym pójdzie ten już nie wróci.

— A jak chętnie bym poszedł, — szepnął Bolski .— Kocham hrabiego jak ojca! Jestem sierotą od najrychlejszej młodości, a gdy hrabiego po raz pierwszy ujrzałem, zdawało mi się, że to mój ojciec!

W tejże chwili wybiegła jakaś postać niewieścia na galerję i zbliżyła się do windy.

— Była to Teresa.

— *Nie pójdziesz sam, dzielny górniku, — zawołała swym dźwięcznym głosem, — jeżeli mężczyźni nie chcą, to ja będę ci towarzyszyć! Bóg nam dopomoże!*

Górnik spojrzał na Teresę i zadrżał gwałtownie.

— Spieszmy się, — mówiła młoda dziewczyna — spieszmy się, hrabia Dernburg, jeden z najszlachetniejszych ludzi musi koniecznie być ocalonym!

Zgromadzeni wieśniacy i górnicy byli zachwyceni odwagą tej pięknej, obcej pani.

— Ona zawstydza nas, — mówili mężczyźni.

Ale nieznajomy górnik stał jak wryty, z rękami na klamce windy opartemi i patrzał milcząc na Teresę.

— Spieszmy się! — powtórzyła.

— Nie! — zawołał teraz nagle, — pani ze mną iść nie możesz! Tam czyha śmierć w rozmaitych postaciach — kto tam idzie, ten może nigdy już nie wróci na ziemię!

— A wy jednak się na to odważacie? — zawołała Teresa. — Przecież i wy możecie tam stracić życie, czemu ja więc nie mam mieć tyle odwagi, jak wy! Ja pójdę z wami i żadna siła ludzka nie wstrzyma mnie od tego!

— Ale pani taka młoda, piękna, — prosił górnik, — i pewnie szczęśliwa — zostawisz przyjaciół — ja zaś nie mam nikogo. Nikt po mnie płakać nie będzie!

— Albo pójdziemy razem, albo żadne z nas! — zawołała Teresa stanowczo.

Nieznajomy milcząc, otworzył drzwi windy, i Teresa weszła, spokojna i uśmiechnięta. Za nią wszedł górnik, zamknął drzwi, nacisnął sprężynę i winda zwolna zaczęła się spuszczać na dół.

Wtedy rozległy się tysiączne okrzyki z tłumu.

— Jedźcie z Bogiem! Szczęść Boże! Szczęść Boże! Mężczyźni rzucali czapki w górę, kobiety załamywały ręce, jedni nie posiadali się z radości, drudzy płakali nad losem odważnych, ale wszyscy podziwiali tych dwoje obcych, którzy nie znając hrabiego, chcieli go ratować.

Bolski rzucił się na galerję i patrzał na dół.

— Albo zobaczycie nas z hrabią, — odezwał się jeszcze głos z głębiny, — albo wcale nie!

— Szczęść Boże, — krzyknęli znowu zgromadzeni.

Bolski przechylił się przez poręcz i patrzał na windę.

— Już są na sto sążni, mówił — teraz trzysta, latarkę górnika widać jeszcze — teraz znika — nie widzę ich już!

— Szczęść Boże! — dał się słyszeć drżący głos proboszcza. — Módlmy się za tych bohaterów! Oni znają miłość bliźniego i wiedzą, co jest ich obowiązkiem!

Tłum milczał.

ROZDZIAŁ XL.

W ciemnościach podziemnych.

Głęboka ciemność otaczała hrabiego Dernburga i Fedorę. Zapałka, którą zapalili, zgasła prędko.

W duszach ich było też ciemno i ponuro — wiedzieli bowiem oboje, że muszą tu umrzeć powolną, okropną śmiercią głodową, albo też uduszą się z braku powietrza.

— Jesteśmy zgubieni, Fedoro, — powtórzył Dernburg, — z tego grobu nie wyjdziemy już nigdy! Zagłębienie, w którem się znajdujemy, ma jedno tylko wyjście, a to jest zasypane gruzami. Chociaż byśmy posiadali siły olbrzymów, nie zdołalibyśmy przebić tego muru.

Fedora milczała.

— Umrzemy razem, — myślała, — o piękniejszej śmierci nie mogłam nigdy marzyć!

— Jest pan hrabia rzeczywiście przekonany, — rzekła po chwili, że nie ma dla nas ratunku?

— Tak! Bo jakim sposobem moglibyśmy wyjść ztąd? W kopalni była jakaś eksplozya ,ztąd powstały wielkie zmiany w szybach i sztolniach. Nad nami zapadł się mur, a gruzy jego zamknęły nasze wyjście. Nie mamy żadnego narzędzia do kopania, a chociażbyśmy je mieli, to trwałoby przynajmniej tydzień, zanim my dwoje zdołalibyśmy mur nasz przekopać. Tymczasem umrzemy z głodu!

— Z głodu! — powtórzyła Fedora przerażona.

— Tak, moje dziecko. Musimy się przygotować na straszny koniec. Gorszem niż głód jest pragnienie, i to nas czeka! — Żebyśmy przynajmniej mieli trochę światła — przyznam się bowiem szczerze, że mnie ta ciemność zaczyna denerwować!

— Ja mam zapałki i krzesiwko!

— Ach to dobrze! Zapalimy światło i obejrzymy sobie nasz przyszły grób. Daj mi zapałki!

Fedora wyjęła z kieszeni małe pudełko, będące obecnie jednak największym ich skarbem i podała je hrabiemu. Ale równocześnie rozległ się cichy szelest na ziemi.

— Na miłość Bozką, — krzyknął Dernburg, — upuściłaś zapałki! Nie ruszaj się, abyś ich nie nadepła, musimy ich szukać, chociażby to i godziny trwało!

Oboje uklękli na ziemi i zaczęli w ciemności szukać drogocennego pudełka.

— Mam je, — zawołał nareszcie Dernburg. — Znalazłem pudełko. Skrzesz teraz ognia! Wypalimy jednę po drugiej i potem znów ciemno będzie.

Fedora skrzesała ognia i zaraz potem zabłysło małe świateko.

Zagłębienie, w którem się znajdowali, miało mniej więcej trzy metry długości i ośm szerokości, ale było tak wysokie, że przynajmniej brak powietrza nie mógł im się dać we znaki.

Hrabia chodził z zapałką wzdłuż ścian — nigdzie jednak wyjścia znaleść nie mógł.

Nie, z tego więzienia była ucieczka niemożliwą!

Nagle jednak krzyknęła Fedora radośnie i rzuciła się na mały jakiś przedmiot, leżący na ziemi.

Była to latarka, którą jeden z górników zostawił tu może przypadkiem. Była ona jeszcze pełną oleju, i gdy ją Fedora teraz zapaliła nie wydawał im się grób ich już tak okropnym, jak poprzednio.

— Fedoro, — rzekł hrabia drżącym głosem, — tam gdzie była ta lampa, znajdują się może narzędzia górnicze. Szukajmy! Widocznie zostawił latarkę jeden z górników, dla tego. że nie zabierał narzędzi ze sobą. Szukajmy. Fe-

doro! Może znajdziemy coś, co nam się przydać może!

I rzeczywiście. W kącie pod ścianą, odkryli siekierę i hak żelazny.

— Ach, — zawołał Dernburg, gdybyśmy teraz mieli tyle sił, aby przebić tę ścianę! Bo narzędzia mamy!

— Spróbujmy więc! Może jedna z tych ścian nie jest tak grubą, jak pan hrabia sądzi!

— Masz słuszność. Zabierzmy się do pracy! Ale otwarcie mówiąc, ja wielkiej nadziei nie mam!

Dernburg zaczął teraz pukać w ściany, aby wyszukać w jakiem miejscu cieńszy mur, i rzeczywiście znalazł to, czego tak gorąco pragnął.

— Tutaj mur jest dosyć cieńki, — zawołał uradowany.

Jeden kawał ściany wypadał po drugim, pod silnem uderzeniem siekiery, a Fedora odrzucała gruzy, aby mu w robocie nie zawadzały.

Ale po dziesięciu minutach ciężkiej pracy opuścił hrabia ręce. Był on wprawdzie bardzo silny, ale nieprzyzwyczajony do takiej roboty.

Grube krople potu okrywały jego czoło, ręce zaś i twarz cała wyglądały jak sadzami uczernione.

Teraz ja zacznę pracować, — rzekła Fedora.

I ująwszy siekierę uderzyła nią tak mocno w ścianę, że hrabia zdumiał.

— Jaka ty jesteś silna, — zawołał. — Silniejszą pewnie odemnie!

— Może być, i ja też nie męczę się tak łatwo, — odrzekła, dodając w myśli: — nie darmo nazwano mnie w Warszawie tygrysicą!

W ćwiczeniach gimnastycznych nikt mi nie dorównał!

Tak padały ogromne kawały ściany!

Twarz młodej dziewczyny była także zupełnie czarną, pył węglany zaczynał jej oddech tamować, ale ona nie zważała na nic. Myśl, że ocali tego, którego kocha, dodawała jej olbrzymich sił.

Z prawdziwą wściekłością rzucała się na mur, uważając go w tej chwili za swego największego nieprzyjaciela. Dernburg podziwiał jej wytrwałość i przemocą prawie musiał jej wyjąć siekierę z ręki, żądając, aby nieco wypoczęła.

Teraz on znowu pracował, i tak zmieniali się co pół godziny.

Oboje pracowali, nie rozmawiając wcale.

Po kilku godzinach ciężkiej i mozolnej pracy zdawało się hrabiemu, że mur znacznie już cieńszy.

— Słuchaj, — zawołał, — odgłos uderzeń już nie taki głuchy! Jeszcze dwie lub trzy godziny, a utorujemy sobie drogę!

— Dałby Bóg, — odrzekła Fedora, i podniosła znowu siekierę.

Po upływie dwóch godzin był rzeczywiście mały otwór w ścianie.

I teraz szła robota prędzej już i łatwiej, godzinę później był otwór już tak duży, że mogli przez niego wyjść.

Ale co zyskali? Dokąd mieli iść?

Może do drugiej takiej komory, tak samo zamkniętej i zasypanej gruzami!

— Dalej, — zawołał Dernburg, — nie namyślajmy się tak długo! Wyjdźmy ztąd, gorzej niż tu nigdzie już być nie może!

I schyliwszy się, przeszedł pierwszy.

Fedora szła za nim. I nagle.....

Hrabia krzyknął uradowany. Nie byli teraz już zamknięci w grobie — przed nimi, o ile przy blasku latarki dojrzeć mogli, ciągnął się długi ganek, będący bez wątpienia w połączeniu z innemi podziemnemi gankami.

— Dalej, dalej, — wołał hrabia, — może się jednak zdołamy ocalić! Trzeba nam przejść koniecznie na drugą stronę kopalni, tam, gdzie eksplozyi nie było!

— Tutaj też lżej oddychać można! — szepnęła Fedora.

— Tak jest! Więcej świeżego tu powietrza! Bóg zlituje się nad nami i nie pozwoli nam zginąć!

Szli więc szybko naprzód i dostali się rzeczywiście do innego ganku, sklepionego i bardzo obszernego.

I tu — zawiało im chłodne powietrze.

Zkąd ono mogło pochodzić?

Pod ziemią przecież nie mógł istnieć taki prąd.

Nagle zgasła lampka, czy przeciąg ją zgasił, czy olej się wypalił, tego nasz hrabia nie wiedział!

I znów byli oboje w głębokiej ciemności.

— Nowe doświadczenie, — rzekł Dernburg, — ale z łaską Boga zwyciężymy je. Podaj mi krzesiwo, Fedoro, spróbuję raz jeszcze lampkę zapalić.

Fedora sięgła do kieszeni, lecz w tej samej chwili przypomniało jej się, że zostawiła wszystko w zagłębieniu, z którego z taką się trudnością wydobyli.

— Wrócę po zapałki, — zawołała, ale hrabia nie chiał na to pozwolić.

— Nie, — rzekł, — na takie niebezpieczeństwo nie możesz się wystawiać, nie trafiłabyś nawet wcale do tej komory. Nie pozostaje nam nic innego, jak iść naprzód, chociaż bez światła. Bóg pomógł nam dotąd to i nadal dopomoże!

Teraz szła Fedora pierwsza a hrabia za nią.

Ganek zdawał się być nieskończonym i hrabia pytał od czasu do czasu.

— Jesteś tu, Fedoro?

— Tak, — odpowiadała młoda dziewczyna.

Ciemność zwiększała się jeszcze i nagle krzyknęła Fedora.

— Ostrożnie, panie hrabio. Tu są schody wybite w kamieniach, ostrożnie!

— Myśl o sobie, moje dziecko, — odrzekł hrabia, — idź wolno!

Fedora zeszła z jednej schody, potem z drugiej —i....

— Ratunku! — krzyknęła przerażająco.

Hrabia usłyszał plusk wody i kilka kropli prysło mu na twarz.

— Boże Wielki, — jeknał, chwytając się za głowę — nieszczęśliwa wpadła w podziemne jezioro!

— Panie hrabio, ratuj mnie, — wołała Fedora, — tonę — tonę —

Dernburg nie namyślał się ani chwili.

Pomimo, że nie widział ręki przed twarzą, to jednak rzucił się natychmiast w wodę i ujrzał wkrótce Fedorę, walczącą z czarnemi falami.

Na jeziorze nie było tak ciemno jak w ganku, mógł więc widzieć dokładnie, gdzie się znajdowała. Zresztą Fedora odzyskała teraz już przytomność — umiała ona doskonale pływać i byłaby się czuła bezpieczną, gdyby jej dwie rzeczy nie były stały na przeszkodzie.

Najpierw przerażenie ubezwładniło ją zupełnie, gdy niespodziewanie wpadła w wodę, a potem ogromne osłabienie tamowało jej ruchy. Głód, pragnienie, strach, walka z Bondim i wyłamywanie ściany, wszystko to wyczerpało kompletnie jej siły.

Pomimo to utrzymała się nad wodą i hrabia przypłynął do niej.

— Fedoro, — zawołał, obejmując ją w pół, — na jakie nowe niebezpieczeństwo byłaś narażoną!

I razem z nią, trzymając ją zawsze jeszcze swem silnem ramieniem, starał się dopłynąć do brzegu.

— Gdybym tylko mógł brzeg dojrzeć, — rzekł po chwili, — ale ta ciemność okropna jest naszą największą nieprzyjaciółką! Mam jednak nadzieję że wypłyniemy ztąd.....

— I wtedy bylibyśmy ocaleni?

— Tak. Doszlibyśmy do głównego szybu, z którego, jeżeli nie jest zasypany, można wyjść na powierzchnią ziemi.

— Ach, byłoby to wielkiem szczęściem! Pan hrabia byłby uratowany.....

— A o sobie nie myślisz?

Teraz uczuł hrabia, że woda zaczyna go unosić i mocniej schwycił ręce Fedory.

— Trzymaj mnie, — zawołał — stało się to, czego się najwięcej lękałem, wir jeziora nas unosi! Niebezpieczeństwo jest okropne!

Zdawało się, że fale zaleją ich zupełnie. Hrabia starał się wszelkiemi siłami wypłynął dalej, ale ile razy wyrzucił go wir do góry, tyle razy porywał go znowu na dół — była to igraszka przyrody z życiem ludzkiem, męcząca, śmiertelna!

Dernburg czuł, że siły zaczynają go opuszczać, i że z tego miejsca żywym już nie wyjdzie. Fedora przeszkadzała mu także w poruszeniach, bo chociaż nie uczepiła się mocno, jak zwykle w takich razach bywa, jego ramienia, to jednak ciężar jej ciała ubezwładniał jego ruchy.

Oboje byli zresztą tak zmęczeni, że o dalszej walce z wirem mowy być nie mogło.

Hrabia objął mocniej Fedorę i krzyknął głośno:

— Ratunku! Ratunku!

Ale tylko echo skał powtórzyło to słowo.

Zresztą szum wody tłumił wszelki głos ludzki.

— Panie hrabio, — szepnęła Fedora, — ratuj się sam! Puść mnie — ja ci zawadzam tylko! Co tam po mnie dla świata! O moje życie nie chodzi! Bądź zdrów, panie hrabio.....

— Nie, — krzyknął Dernburg. — Ja ciebie nie opuszczę, trzymam cię mocno i ty musisz przy mnie zostać! Jeżeli ty żyć nie możesz to i ja umrę. Czy nie wiesz, że ja tylko dla ciebie walczę z śmiercią?

W następnej chwili uczuł, że dwoje miękkich ramion otacza jego szyję i zimna twarz Fedory przyciska się do jego twarzy. I czuli oboje teraz, że nie śmierć ich łączy, tylko miłość, i zapomnieli o całem niebezpieczeństwie, jakie im tu groziło.

— Ach, gdybyśmy tylko mogli się wydobyć z tego wiru, — jęknął Dernburg, — teraz — chciałbym żyć! Spróbujmy raz jeszcze w imię Boga!

I zebrawszy wszystkie siły, zaczął rozpaczliwie walczyć z potężną swoją przeciwniczką, ale daremnie.

— Ratunku! — krzyknął raz jeszcze. — Giniemy! Boże, zmiłuj się nad nami!

Lecz cóż to? Czy go słuch mylił?

— Fedoro, — szepnął drżącym głosem, — słyszałaś.....

— Tak — zdawało mi się — że to — głos ludzki.

— Ah, to być nie może!

— Wytrwajcie — idziemy — dał się słyszeć głos w dali.

Nie, tym razem nie było to już omyłką!

— Idą nam na pomoc! — zawołał hrabia, podnosząc się ostatnim wysiłkiem. — Nie jesteśmy jeszcze zgubieni! Ciesz się Fedoro!

— Idziemy! Trzymajcie się jeszcze kilka sekund!

— Już są bliżej — — o dzięki ci Boże!

Pomoc zbliżała się rzeczywiście szybko. Na małej łódce siedziało dwoje ludzi i wiosłowało z całą siłą — Dernburg widział ich teraz już dokładnie. Był tam wysoki mężczyzna i młoda kobieta.

— Idą nasi zbawcy, — zawołał, — Fedoro, będziemy żyć! A życie nasze stanie się jednem pasmem szczęśliwych dni!

Fedora płakała.

Łódka z trudnością zbliżała się do hrabiego, wir bowiem strasznie był gwałtowny. Ale silna i wprawna dłoń nieznajomego górnika zwyciężyła wszelkie trudności.

— Już — chwytajcie wiosło — zawołał nieznajomy.

Hrabia i Fedora ujęli podane im wiosło, i zwolna, po nadludzkiem prawie wysileniu, zdołali się dobić do łódki. Jeszcze chwila, a stary, siwowłosy górnik pomagał nieszczęśliwym przy wejściu do łodzi.

Hrabia i Fedora byli ocaleni.

Ale doznane wzruszenia zbyt były silne. Zaledwie czuli się bezpiecznymi, zaledwie wiedzieli, że teraz nic im już złego nie grozi, gdy tak Dernburg jak i Fedora stracili przytomność.

— Boże! — zawołała Teresa, — oni nam tu umrzeć gotowi.

Górnik pochylił się nad nimi i rzekł:

— Nie, to tylko głębokie zemdlenie!

Teresa ułożyła wygodnie Fedorę i nacierała skronie jej wodą.

— Spieszmy się, — zawołał górnik, — weź pani wiosło — trzeba ich jak najprędzej wywieść ztąd!

Teresa wykonała natychmiast jego rozkaz i łódka zwolna płynęła do brzegu.

ROZDZIAŁ XLI.

Na ziemi.

Im więcej zbliżali się do celu, tem więcej się rozjaśniało na jeziorze. Promienie słońca odbijały się od skał podziemnych i oświetlały wodę.

Teresa spoglądała od czasu do czasu na zemdlonych, częściej jednak zwracały się jej spojrzenia na tajemniczego górnika, którego żywe, bystre oczy tak dziwną tworzyły sprzeczność z siwą brodą i siwemi włosami.

On sam wykonał to, co inni uważali za niemożliwe!

Teresa niezmierną uczuła sympatyą do tego człowieka. Daremnie jednak usiłowała rozpocząć z nim rozmowę, gdy idąc z nim w długich, ciasnych gankach, musiała trzymać jego rękę, aby nie wpadnąć w jaką przepaść.

Górnik odpowiadał na wszelkie jej pytania tak krótko i niechętnie, że można to prawie było nazwać niegrzecznością z jego strony.

Górnicy wogóle nie dużo lubią mówić, pędząc życie pod ziemią, odwykają wnet od towarzystwa i stawiają się milczącymi. Myślą dużo ,więcej, niż mówią.

Ale teraz, gdy zbliżając się do brzegu, przejeżdżali pomiędzy wysokiemi skałami, z których promienie słońca magicznym prawie blaskiem oświecały ciemne fale wody, podniósł stary górnik głowę, i zawołał z zachwytem:

— Jak piękny i wzniosły to widok! Jaki wspaniały dowód wszechmocy Boga!

— Tak, myślałem w tej chwili to samo — odrzekła Teresa.

I jak pięknie musiałby tu w tych skałach brzmieć śpiew — mówił górnik dalej. — Szkoda, że nie umiem śpiewać, inaczej zarazbym....

— Ale ja umiem, — przerwała Teresa żywo.

Zdawało jej się, że zwrócił on te słowa wyraźnie do niej, tak, jak gdyby ją prosił, aby śpiewała, i chcąc mu zrobić jakąś przyjemność, postanowiła natychmiast wypełnić jego życzenie.

Przez chwilę namyślała się, co śpiewać, i nagle przypomniała sobie ową wzniosłą pieśń kościelną, którą niegdyś tak chętnie śpiewała na ulicach Wiednia.

Poważna pieśń kościelna była też tu najstosowniejszą!

I cichym, przytłumionym głosem zaczęła śpiewać:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu,
„A całem sercem szczerze ufa Jemu,
„Śmiele rzec może, mam obrońcę Boga,
„Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.“

Ale jakie wrażenie wywarła pieśń ta na nieznajomym górniku!

Wiosło wypadło mu z ręki, a on stał, jak posąg nieporuszony.

Teresa zaś głośniej już, śpiewała dalej:

„Ciebie on z łowczych obieży wyzuje,
„I w zaraźliwem powietrzu ratuje,
„W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
„Pod jego pióry uleżysz bezpiecznie!“

Głuchy jęk wydobył się z piersi starego górnika. Ale jak gdyby wstydząc się swej słabości — odwrócił gowę, i ująwszy znowu wiosło, szybko niem zaczął poruszać.

Łódka dobiła do brzegu — górnik zaniósł najpierw Fedorę do windy, potem poszedł po hrabiego.

Teresa pomogła mu ułożyć Fedorę w windzie, i gdy teraz wracali po Dernburga, ujrzeli go ku największemu ich zdumieniu stojącego nad wodą.

Był on jeszcze bardzo blady, ale przytomność wróciła mu zupełnie, i widząc zbliżających się swoich wybawicieli poszedł ku nim i podał im rękę.

— Kto jesteście? — rzekł drżącym głosem. — Chciałbym wiedzieć, komu zawdzięczam życie moje, i życie tej dziewczyny! Powiedźcie mi wasze nazwiska, abym poznał moich wierzycieli, którym więcej jestem winien, niż im to całą moją przyszłością zapłacić zdołam!

— Ja jestem Teresa Krones, — rzekła młoda dziewczyna, — ale nie mnie zawdzięczasz pan ocalenie. Wszystko to jest zasługu tego dzielnego człowieka, — dodała, wskazując na górnika.

Nieznajomy stał z rękami na plecach założonemi i wyglądał tak, jak gdyby mu podziękowania nieprzyjemnemi były. Na czole jego głęboka zarysowała się zmarszczka.

— Pani jesteś Teresą Krones! — zawołał Dernburg zdumiony — ową sławną śpiewaczką? W takim razie nie żałuję tego, co przecierpiałem, tylko nieszczęściu memu zawdzięczam poznanie naszej najsławniejszej artystki. Ale kto wy jesteście, mój przyjacielu? — zwrócił się do górnika — Czemu nie powiecie mi waszego nazwiska? Ja was po królewsku wynagrodzę, a pomimo to zawsze pozostanę waszym dłużnikiem! Bo tego, co uczyniliście dla mnie pieniędzmi odpłacić nie można!

Ja nie uczyniłem nic nadzwyczajnego, — odrzekł górnik, — wypełniłem tylko mój obowiązek! Jeżeli nie ja, to inni byliby pana hrabiego ocalili. Za swego dobroczyńcę oddałby każdy chętnie swe życie!

(Ciąg dalszy nastąpi).